

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.



Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 470.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok X. Kraków, 8 marca 1913. Nr. 10.

Zbrojny napad na dwór.

(Treść na str. 2).

Zbrojny napad na dwór.

(Do illustracyi tytułowej).

Epidemia bandytyzmu w Królestwie Polskiem, choć przycichła w ostatnich czasach, jak się okazuje, nie wygasła zupełnie... W tych dniach znowu bandyci dali znać o sobie, dokonawszy zbrojnego napadu w Białowodach (w Hrubieszowskiem) na dwór p. Czachurskiej, wdowy po znanym artyście. Wszystko odbyło się według tak dobrze znanego mieszkańcom Królestwa Pol. programu... Bandyci w liczbie ośmiu, uzbrojeni w browningi i mauzery, zajechali przed dwór na dwóch bryczkach, wystrzałami sterroryzowali służbę, postawili dokoła straże i wtargnąwszy do pokoju jadalnego, gdzie Czachurska spożywała wtedy kolacyę, zażądali od niej wydania pieniędzy i kosztowności. Nie zadowolnili się jednak 800 rb., które właścicielka im oddała, lecz poczęli najspokojniej przeprowadzać rewizyę w mieszkaniu i zabierać wszystkie kosztowności... Spłądrowali w ten sposób nawet kredens, z którego zabrali wszystkie srebrne naczynia.

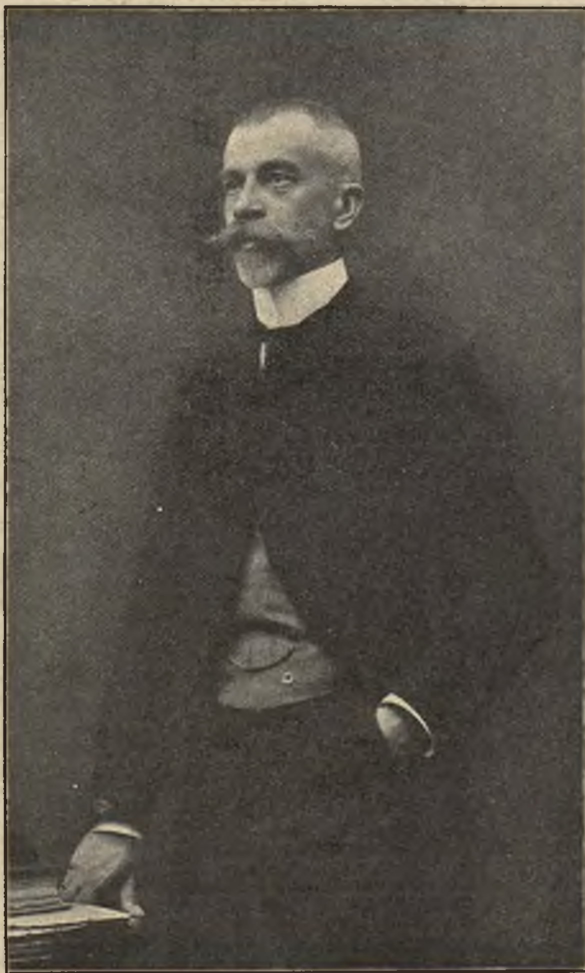
Gospodarowali w ten sposób przez blizko dwie godziny, posilając się i zapijając wino, poczem najspokojniej wraz z łupem wsiedli do bryczek i znikli w ciemnościach nocy...

Tytułowa illustracya nasza przedstawia ten zuchwały rabunek bandytów, gospodarujących z całym spokojem w pokoju jadalnym.

Zgon zasłużonego urzędnika.

W tych dniach kolonia polska w Wiedniu poniosła dotkliwą stratę. Zmarł tam jeden z wybitniejszych polskich urzędników ministeryalnych, ś. p. dr. Seweryn Kniaziołucki.

Urodzony w r. 1853 pod Czortkowem, rozpoczął ś. p. Kniaziołucki swą karyerę urzędniczą w służbie kolejowej, a wszedłszy następnie do ministerstwa skarbu, został w r. 1897 szefem sekcyi. Gdy w r. 1899 gabinet hr. Thuna podał się do dymisyi, a hr. Clary powierzono utworzenie nowego gabinetu, dr. Kniaziołucki mianowany został kierownikiem ministerstwa skarbu. Na tem stanowisku położył on szczególniejsze zasługi dla dziennikarstwa, bo nie oglądając się na opozycyę, zdołał on przeforsować zniesienie stempla dziennikarskiego i uwolnienie prasy z pod ciężarów tego dotkliwego haraczu. W uznaniu tych zasług Tow. dziennikarzy polskich zamianowało go też członkiem honorowym.



Zgon zasłużonego urzędnika: Ś. p. dr. Seweryn Kniaziołucki, szef sekcyi w ministerstwie skarbu.

Pracując przez długie lata w Wiedniu na najwyższych stanowiskach, ś. p. dr. Kniaziołucki należał do tych polskich urzędników, którzy na swem stanowisku starali się przedewszystkiem służyć interesom kraju i polskiego społeczeństwa.

Cześć jego pamięci!

Pamiątka bitwy narodów.

W tym roku upływa sto lat, kiedy na polach Lipska zmierzyły się ze sobą armie prawie całej Europy. Sławna bitwa pod Lipskiem trwała od 14 do 20 października 1813 r. Po jednej stronie walczyła armia Napoleona, zaś po drugiej trzy armie sprzymierzone pod wodzą gen. Blüchera, gen. Schwarzenberga i króla Karola Jana szwedzkiego. Razem stawało do orężnej rozprawy pół miliona ludzi i dwa tysiące armat. Bitwa składająca się z szeregu krwawych walk zakończyła się odwrotem Francuzów, pamiętnym dla nas smutnym faktem śmierci ks. Józefa Poniatowskiego, który utonął w rzece Elsterze.

Zachodząca już wówczas gwiazda Napoleona utraciła wtedy najwięcej swoich promieni.

Na miejscu, gdzie w tej bitwie narodów główne toczyły się zapasy, stanął przed laty wspaniały pomnik.

Illustracya nasza przedstawia widok tego pomnika, zdjęty z lotu ptaka.

Zmiana w naczelnej komendzie marynarki austro-węgierskiej.

W naczelnej komendzie floty austryackiej zaszły w ostatnich dniach doniosłe zmiany. Dotychczasowy jej dowódca hr. Rudolf Montecuccoli, skończywszy 70 rok życia, ustąpił z zajmowanego stanowiska, oświadczając, że pragnie, aby ktoś młodszy objął tę odpowiedzialną władzę. Poważny staruszek otoczony jest powszechnym szacunkiem. W marynarce służy od r. 1859, zaś naczelne stanowisko objął po ustąpieniu admirała von Spauna w r. 1904. Przed kilkunastu dniami odbył ustępujący naczelnik austryackiej siły zbrojnej ostatnią rewię całej floty w kanale fazeńskim, poczem na pokładzie okrętu „Viribus unitis", pożegnał się z wszystkimi oficerami.

Następcą jego został obecny inspektor floty, wiceadmirał Antoni Haus. Urodzony w r. 1851, służy w marynarce już od r. 1869. Kontradmirałem zo-

Przed końcem wojny: Rekwizycya koni w Konstantynopolu.

stał w r. 1905. Przez pewien czas dowodził eskadrą, poczem w ubiegłym roku został inspektorem marynarki. Nowy dowódca uważany jest za tęgiego i fachowego znawcę spraw nautycznych i cieszy się zasłużoną popularnością.

W dzisiejszym numerze podajemy podobizny obu admirałów.



Zmiana w naczelnej komendzie marynarki austro-węgierskiej: Nowy komendant marynarki wojennej, wiceadmirał A. Haus.

Echa krwawej tragedyi.

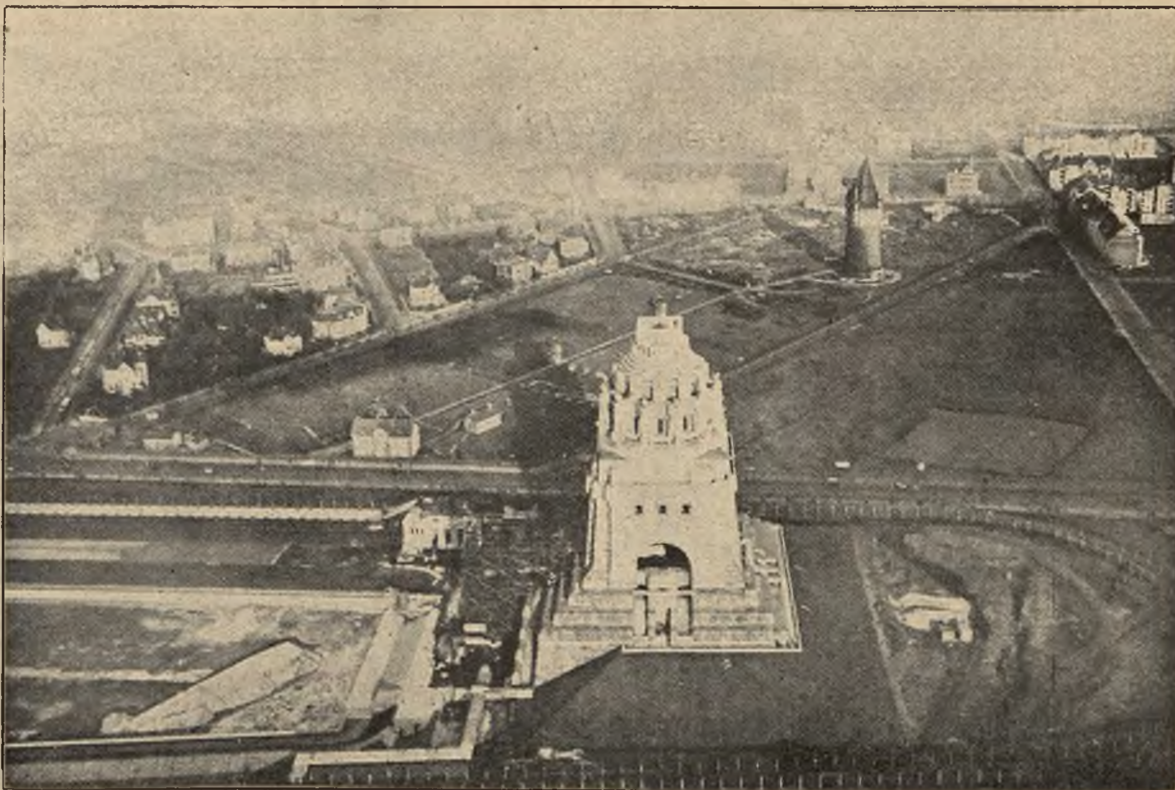
Smutna tragedya dra Kruszyńskiego i panny Janczarówny, o czem donosiliśmy przed tygodniem, wywołała we Lwowie wielkie wrażenie. Dr. Kruszyński zarówno jako lekarz, jak też jako obywatel cieszył się we Lwowie wielkiem uznaniem. To też pogrzeb obu ofiar nieszczęśliwych zawikłań życiowych był poważny i tłumny.

Zwłoki dra Kruszyńskiego złożone były w kaplicy Boimów. skąd przewiezione zostały na dworzec kolejowy. Złożone bowiem zostały na wieczny spoczynek w Krakowie. W obrzędzie pogrzebowym uczestniczyło wielu profesorów uniwersytetu, lekarzy-kolegów, spore grono literatów i dziennikarzy. Za karawanem postępował syn i siostra zmarłego.



Zmiana w naczelnej komendzie marynarki austro-węgierskiej: Ustępujący komendant marynarki wojennej, admirał hr. Montecuccoli.

Pogrzeb drugiej ofiary tragedyi, p. Janczarówny, był również bardzo tłumny. Wiele osób współczuło tragedyi nieszczęśliwej kobiety, którą los popchnął do zbrodni. Zwłoki złożono na cmentarzu łyczakowskim.



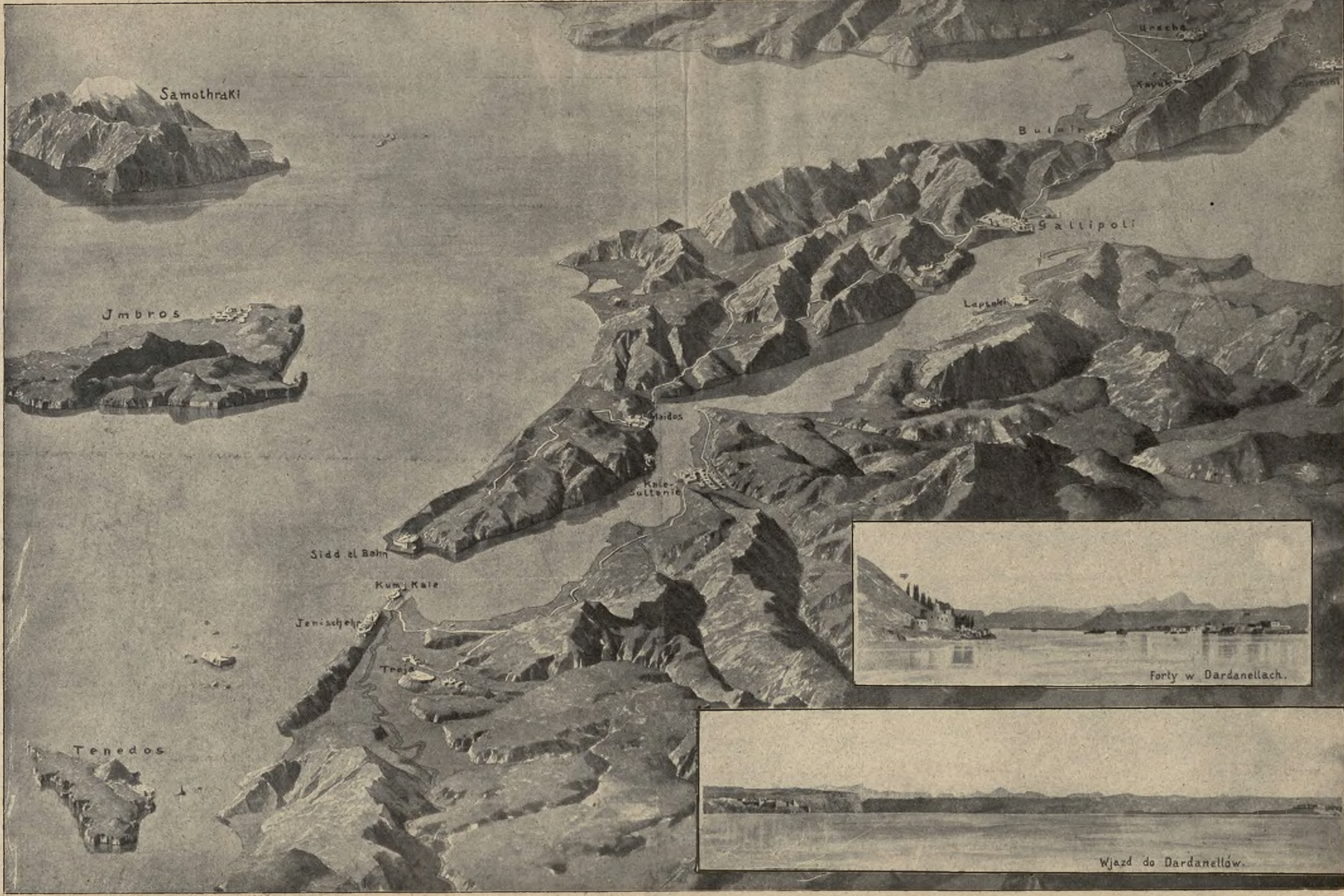
Pamiątka bitwy narodów: Pomnik na polu bitwy pod Lipskiem w r. 1813.



Echa krwawej tragedyi: Przeniesienie zwłok ś. p. dra Kruszyńskiego do pociągu na dworcu lwowskim.



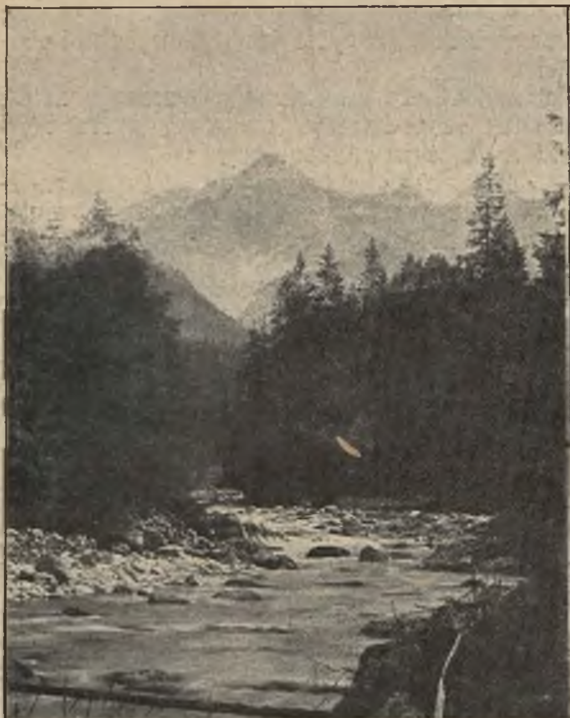
Echa krwawej tragedyi: Pogrzeb ś. p. Heleny Janczarówny. (Fot. Zakł. zdjęć fot., Lwów).



Forty w Dardanellach.

Wjazd do Dardanellów.

Klucz polityki europejskiej: Plastyczna mapa Dardanellów.







ARTUR GRUSZECKI

POD CZERWONYM WIRCHEM

2

Pierwszy mąż zerwał się z krzesła, ucałował rękę żony i powiedział szczerze:

— Może cię odprowadzę Wandziu, — a na jej przeczący znak, — może się położysz, czy przysłać ci Rózię?

— Nie, dziękuję.

Stryj ucałował również jej rękę, a ciotka szepnęła:

— Pójdę z tobą Wandziu, może ci się przydam.

— Dziękuję cioci, odpocznę, to przejdzie.

Gdy panie wyszły, rozkazał gospodarz:

— Pawle, kawę przyniesiesz nam do palarni.

Obydwaj przeszli do małego pokoju, w którym stały wygodne meble, pokryte skórą zielonkawą i kilka stoliczków zesuwanych.

Stryj Emil usiadł w szerokim fotelu i wziąwszy pudełko do ręki, wybierał starannie cygaro, Michał zaś z papierosem w ustach stał przy oknie, wpatrując się w zajazd przed dworem.

Paweł przyniósł spirytusową maszynkę do kawy, sam bowiem gospodarz zaparzał kawę, rozstawił filiżaneczki, cukier, i spytał półgłosem:

— Jaśnie panie, jaki likier?

— Przynieś koniak, — i podszedłszy do maszynki zapalił spirytus, następnie stanął znowu przy oknie.

Stryj Emil rozkoszował się zapachem cygara i spytał po chwili:

— Michasiu, kupiec zabrał zboże?

— Nie, na taką drogę nie znajdzie furmanek.

— A tobie zapłacił?

— Tak jest.

— Zatem wszystko w porządku, — uśmiechnął się stryj, — i dlaczego chodzisz taki nieswój i osowiały?

— Czy stryj myślał, że martwię się gospodarstwem? — uśmiechnął się lekceważąco, — głupstwo, rok nie był szczególny, ale ceny są dobre, i gdyby to szło tylko o gospodarstwo... — westchnął.

— Cóż cię gryzie? — spytał cieplejszym tonem, — powiedz, może znajdziemy we dwóch radę.

— Radę? — uśmiechnął się niedowierzająco, — gdybym wiedział, co jest, znalazłbym sam radę, ale nie wiem, nie rozumiem, — kończył głosem przygnębionym.

— Siadaj przy mnie, — zachęcał stryj, — czworo oczu więcej widzi, aniżeli dwoje.

— Jestem taki rozdrażniony, że nie usiedzę na miejscu... ale możemy mówić, — nalewał kawę do filiżaneczek.

— Wyborna kawa, — chwalił stryj.

— Sam ją też robię, — uśmiechnął się bratanek, — przekonałem się, że tylko mokka ze złotą jawą pomieszana daje dobrą czarną kawę, — kosztował łyżeczką i badał smak.

— U ciebie naprawdę przyjemnie coś wypić i zjeść... masz smak wytworny.

— Pochwała stryja wygląda na ironię po dzisiejszym obiedzie... wstyd mi było, zwłaszcza, że nie żałuję wydatków na kuchnię i kucharza, a obiad był, jak z garkuchni.

— Istotnie obiad dzisiejszy nie należał do zbyt wykwintnych, — potwierdził stryj, — ale to wyjątkowo.

— Wyjątek, który się od pewnego czasu stale powtarza, — zawołał z goryczą, — ale przecież nie mogę sam wszystkiem się zajmować, od czegóż mam żonę!?

— No, tak... ale jeśli pani Wanda nie posiada zamiłowania do gospodarstwa, w takim razie...

— Tu nie idzie o zamiłowanie, — przerwał stryjowi, — to są obowiązki żony, i gdyby ona była taką, jak dziś, od chwili pobrania naszego, potrafiłbym się był stosownie urządzić, ale ona była najlepszą, najtroskliwszą żoną, zgadywała moje myśli i byliśmy najszczęśliwsi z ludzi, tak jest, najszczęśliwsi, — umilkł zatopiony we wspomnieniach przeszłości.

Stryj nalał sobie i bratankowi kawy, napełnił wypróżnione kieliszki i rzekł z lekkiem powątpiewaniem:

— A wiesz, tego nie spodziewałem się.

— Czego?

— No, tego szczęścia... Bawiłem wówczas za granicą i tylko z listów wiedziałem, jakoby z was była dobrana para... byłem też ciekaw...

— Tak jest, pisano stryjowi prawdę, kochaliśmy się szczerze, ona była nad wyraz dobra i kochająca, — wypił kieliszek koniaku, — jeśli istniał na świecie ideał żony i kochanki, to ona nim była.

— Pij, — podsunął mu napełniony kieliszek, — to naprawdę zagadka psychologiczna... i skąd ta zmiana?

Jerzycki, który cierpiał z powodu stosunku swego, a nie miał komu się zwierzyć, pod wpływem rozbudzonych wspomnień, zapragnął nietylko wyspowiadać swój ból, ale też przez głośne rozpamiętywanie znaleźć klucz do zrozumienia przyczyny tego stanu rzeczy.

— Zaczęło się od spraw drobnych, — mówił zwolna, z oporem wewnętrznym, jaki zwykle mają ludzie, dotykając bolesnych rzeczy; — w sąsiedztwie było kilku wesołych chłopaków, trochę hulaszczych. W jakieś dwa lata po ślubie odnowiłem z nimi dawną znajomość, bywałem może za często u nich.

— I co robiliście? — spytał stryj zaciekawiony, zapalając świeże cygaro.

— Piło się, grało, polowania... bawiliśmy się wesoło i głośno. Wandzia zaczęła mi robić wymówki, zwłaszcza, gdy pewnego wieczora przegrałem siedm tysięcy rubli.

— Siedm tysięcy rubli, — skrzywił się stryj.

— Raz jeden. Przecież stryj wie, że nie jestem graczem, u nas tego niema we krwi. Od tego czasu unikałem hazardu i nie zdarzyło mi się już nigdy, ażeby przegrana lub wygrana przenosiła paręset rubli. Ale niechże kto wytłumaczy Wandzi! Nie wychodziła, gdy oni przyjeżdżali do nas, wreszcie zażądała, ażeby nie bywali u nas, i żebym z nimi zerwał.

— Hm... to dosyć ostro, — uśmiechnął się stryj, — cóż ty na to?

— Lekceważyłem jej uwagi, licząc na jej miłość i wyrozumiałość. Wprawdzie oni sami przestali bywać, ale ja od czasu do czasu, pod różnymi pozorami, odwiedzałem ich, ukrywając się przed nią dla świętego spokoju.

— To źle, — ożywił się stryj, — sprawę należało z miejsca jasno postawić.

— Jakto?

— Bywam, gdzie mi się podoba, żyję, z kim chcę, a ty masz swój dom, dziecko, kuchnię, książki...

— Nie chciałem jej zrażać do siebie i byłem pewny, że to samo przez się minie, ułoży się jakoś... I przyjechali jej krewni, wydało się, że nie zerwałem z towarzyszami... nowe wymówki, sceny, a ja z gniewu nietylko wyjechałem do nich, ale okazałem się szorstkim dla jej krewnych... Po pewnym czasie nastąpiła zgoda, zupełna z mej strony, pozorna u niej; podejrzywała mnie... wyłoniły się nowe zarzuty... głupie! — wypił kawę, popił koniakiem, wstał i przechadzając się, mówił gorączkowo:

— Pokazało się, że ona we mnie innego kochała, jakąś dziwaczną doskonałość... że jej nie rozumiem... że nie kocham jej jako człowieka, lecz jako kobietę... że różnimy się w celach życia, w przekonaniach, w sympatyach... jednem słowem mur między nami wzrastał nieustannie i nie mogłem go usunąć, bo gdy byłem blizki zgody i rozczuliłem się, odtrącała mnie, zrażona jakiemś słowem, uśmiechem, żartem... Miejsce miłości zajął chłód, obojętność, odsuwała się odemnie i każde z nas zaczęło prowadzić życie oddzielnie.

— Znam to, znam, — westchnął stryj, — nie ty jeden to przeżywasz... i cóż dalej? Mów!

— Takie życie zaczęło mnie męczyć i drażnić... gdybym jej nie kochał, nie szanował, rzuciłbym ją oddawna, ale poszedłem drogą kompromisów. Zacząłem ulegać jej żądaniom, wymaganiom...

— Najgorzej! — zerwał się stryj z fotela i owijając sznureczek od monokla około palca, zapalał się: — wiesz, jak długo kobieta widzi w mężczyźnie siłę, przewagę moralną i fizyczną, jest dobra, uległa, kochająca, ale gdy się upokorzysz, ulegasz, jesteś słabym dla niej... rosną wymagania, kaprysy, fantazye i z męża zamieniasz się w jej niewolnika.

— Może inne, ale nie Wandzia, — oburzył się, — ona nic i niczego nie żądała odemnie, zasklepiła się w sobie, była cicha, spokojna, że tak powiem zrezygnowana, ale coraz dalsza, bardziej obca... Spostrzegłem, że się zamęcza, zamartwia, wszystko widzi w czarnych kolorach, lada drobnostka przybiera w jej oczach olbrzymie rozmiary, staje się katastrofą, tragedyą...

— A cóż ty na to, Michasiu? — spytał tonem, w którym zdradzało się poczucie swojej wyższości.

— Nic... znoszę.

— To źle! Wierz memu doświadczeniu; ona zimna, ty bądź zimniejszy, ona żyje dla siebie, ty baw się i hulaj; niech pozna, że jej fochy i sztuczne smutki ciebie nic nie obchodzą, tylko zrażają do niej.

— Kiedy tak mi jej żal, — powiedział miękkim głosem.

— Przez niewczesny żal zmarnujesz życie i jej i sobie. Tu trzeba działać stanowczo... ona niech się zajmie gospodarstwem domowem, dzieckiem, a tobie niech zostawi swobodę. Nie jesteś, dzięki Bogu, żadnym półgłówkiem, abyś potrzebował kurateli.

— A może, — rzekł po chwili namysłu, — może stryj ma racyę... tylko, że ona taka wrażliwa, delikatna, uczuciowa...

— Czy badał ją doktór? bo wiesz, te jej niechęci, smutki, są mi podejrzane.

— Nie chce pozwolić, a na moje nalegania

i prośby jedną ma odpowiedź: jestem zdrowa, sama wiem najlepiej, co mi brakuje, to nie jest żadna choroba fizyczna, potrzebuję tylko spokoju, nie doktora.

— Czyż ona nie ma spokoju, wygody? — oburzył się stryj, — zresztą wyjedź z nią do Warszawy, tam znajdziesz sposobność poradzenia się doktora.

— Myślałem o tem, prawie się zgodziła, wtem buraki nie zostały dostawione do cukrowni z powodu słoty, a wobec takiej straty, ruiny majątkowej jej zdaniem, uparła się i nie chce jechać.

— O, to masz krzyż pański z nią, — powiedział ze współczuciem.

— Wiem o tem, — westchnął, — a może ona naprawdę chora?

— Gdyby była chorą, sama wezwałaby doktora... Zdrowa jest, tylko rozpieszczona i rozkapryszona. Posłuchaj mojej rady, bądź mężczyzną, postaw twardo swoje wymagania i nie ustępuj.

— A jeśli ona nie usłucha?

— Zagroź jej rozwodem.

— Nie, to niemożliwe, zanadto ją kocham... no i Ninka.

— Więc powiedz, że wyjedziesz na czas dłuższy... musisz odpocząć, odetchnąć po tej ciężkiej atmosferze.

— Może to i dobry sposób, — ożywił się, — spróbuję.

— Tylko nie zwlekaj, — upomniał stryj, — dzisiejszy obiad weź za pozór.

— Tak... tak, zwłaszcza, że na trzy dni zjadą do mnie goście na polowanie... trzeba się z nią naradzić, co im podać, gdzie pomieścić.

II.

Z powodu migreny pani Wandy mąż nie mógł się z nią rozmówić i rad był tej zwłoce, uwalniała go bowiem od bezwzględnego postawienia kwestyi przyszłego unormowania ich wspólnego życia. Nazajutrz pani Wanda narzekała na wyczerpanie i do rozmowy nie przyszło.

Goście jednak mieli przybyć i dłużej nie można było zwlekać z rozmową. Upatrzywszy stosowną chwilę, przyszedł popołudniu do gabinetu żony, którą zastał szyjącą sukienkę dla Ninki i zaczął uprzejmie:

— Chciałbym, Wandziu, naradzić się z tobą w sprawie przyjęcia gości.

Odłożyła robotę i spytała z odcieniem obawy i zaniepokojenia:

— Jacy goście?

— Zapomniałaś? — zdziwił się, — zjadą się na polowanie.

— A, wiem; ale sami mężczyźni?

— Przypuszczam, chociaż może na drugi lub trzeci dzień będą i panie. Idzie mi o to, ażebyś obmyśliła, co podać na obiady, na kolacye...

— Wiesz, tak nie mam talentu pod tym względem... możebyś mnie wyręczył, a uniknęłabym wymówek.

— Moja Wandziu, — zaczął oschłym tonem, — czy to mój wydział zajmować się kuchnią? Od czegóż jesteś gospodynią? żoną?

— Dobrze... poradzę się z kucharzem.

— I znów dasz taki obiad, jak onegdaj.

Przypomniała sobie posłyszane wymówki i złośliwe uwagi, twarz jej przybrała wyraz surowy i rzekła z powstrzymywanem rozdrażnieniem:

— Nie wiem, może będzie lepszy, może gorszy... nie umiem ci dogodzić.

— Bo nie chcesz! — nachmurzył się.

— Chcę, ale nie mogę, bo nie mam do tego ani głowy, ani usposobienia.

— Nie idzie o usposobienie, ani o głowę, — uśmiechnął się ironicznie, — ale o wypełnienie obowiązku, od którego uwalnia tylko choroba, — a widząc ją tak mizerną, dodał ze współczuciem: — a może Wandziu jesteś chora?

— Nie, i uprzedzam cię, że jeśli nie dogodzę ci z obiadami, to tylko dlatego, że nie mogę myśleć o potrawach, to takie męczące.

— Ale właściwie, czem ty się męczysz? Dziecko z boną, porządki robi służba, kucharz gotuje, czegóż ci brak?

— W istocie jestem bardzo szczęśliwa, — zaśmiała się ironicznie, — mam męża, dom, dziecko, wytworne jedzenie, czegóż mi trzeba więcej do szczęścia!?

Te słowa rozdrażniły go, wstał i prostując się podniósł głos:

— Jesteś egoistką i myślisz tylko o sobie, ale ja mam dosyć takiego życia; ciągłe kwasy, smutki, narzekania, czy nie rozumiesz, że robisz mnie nieszczęśliwym? — a spostrzegłszy jej drwiące spojrzenie dodał: — ja lubię życie, wesołość, swobodę, a ty oddaliłaś odemnie ludzi...

— Karciarzy i hulaków, — powiedziała z pogardą.

— Nieprawda! — wybuchnął, — są dobrze wychowani, ale, że nie są tetrycy, zrozpaczeni i sknerzy, tobie się nie podobają. Mniejsza o nich, ale to ci zapowiadam, że nie mogę żyć dłużej w tej ponurej atmosferze katorgi.

— I co zrobisz? — spytała z udanym spokojem, — zabij mnie, albo struj, a uwolnisz się od nieszczęścia.

— Ty masz talent wyprowadzania mnie z równowagi, — pobladł z gniewu, — ale ja nie nadaję się na aktora twoich tragedyi. Jeśli nasz stosunek się nie zmieni, wyjadę na czas dłuższy, póki ty nie zrozumiesz, że twoje przywidzenia, smutki, gorycze, są bezcelowe.



— Wandziu i co ja złego zrobiłem?

— Dobrze... jedź, przynajmniej nie będę potrzebowała myśleć o obiadach i udawać wesołość i swobodę.

Spojrzał na nią uważnie, dostrzegł w twarzy bezbrzeżny smutek i gorączkowe wypieki, zdjął go żal nagły, zbliżył się do niej i mówił wzruszony:

— Wandziu, bądź taka, jak dawniej, wesoła, uśmiechnięta, taka, jaką kochałem. Poco te smutki, to przygnębienie? Ani się uczeszesz, ani ubierzesz, ani grasz, zawsze chmurna, zgorzkniała, posępna...

— Jestem taką, jak jestem, nie umiem grać komedyi.

— Więc dawniej udawałaś? — zadrżał mu głos.

— Nie wspominaj, to były czasy najnieszczęśliwsze, — zawołała poruszona, — a następstwem ich Ninka, córka takiego ojca i takiej matki, dziecko nieszczęśliwe! Byłam głupia, nieopatrzna, nie rozumiałam, że życie jest tylko męką i cierpieniem.

Patrzał na nią zdziwiony i oburzony, zrobił ręką ruch lekceważący, gwizdnął przez zęby i rzekł z chłodem rozkazującym:

— Zostawiam ci wolny wybór, albo się zmienisz na tę z czasów, jak ty nazywasz najnieszczęśliwszych, albo też ja wyjadę na czas dłuższy.

— Kiedy wyjedziesz? — spytała z udaną obojętnością.

Ten ton rozgniewał go, spodziewał się oporu z jej strony, prośby, ażeby został, odparł też popędliwie;

— Wyjechałbym dziś, bo jesteś niemożliwa, ale muszę uporządkować interesa, ażebyś nie posądzała mnie o zrobienie ci krzywdy... Posag twój ubezpieczony, — kończył złośliwie, — i mimo twych przewidywań ruiny, możesz go odebrać każdej chwili.

— Dobrze... przyda się Nince.

I znów żal go ogarnął, że w ten sposób ma się rozstać z żoną. Zbliżył się tuż do niej i spytał wzruszony:

— Wandziu, i co ja ci złego zrobiłem?

— Sam wiesz, że nic, — podkreśliła ostatnie słowo.

— Wandziu... daruj, jeśli cię uraziłem, — nachylił się, chcąc ją pocałować.

Odchyliła się szybko i zarumieniona zawołała:

— Nie! Nie! Wiesz, jak nie lubię wszelkich czułości.

Wyprostował się, obrażony, i powiedział twardo:

— Nie, to nie! Czy masz mi co jeszcze do powiedzenia?

— Nic... tylko prosiłabym cię, ażebyś mnie zostawił samą, jestem znużona tym melodramatem.

Wyszedł, zatrzaskując drzwi za sobą. Dotychczasowy spokój, utrzymany z takim wysiłkiem nerwów, wyczerpał ją. Polały się łzy rzęsiste, a tłumione łkania rozrywały jej piersi. Po pierwszym wybuchu płaczu, gdy trochę się uspokoiła, zaczęła rozmyślać o mężu... Jaki on niegodziwy, wstrętny, małostkowy, jaki sybaryta cyniczny, ciągle myśli o jedzeniu i piciu, o używaniu, żadnego w nim ducha, serca, zapału, myśli!

I co ona zawiniła? Cicha, spokojna, łagodna, i chociaż widzi, że wszystko idzie ku ruinie, że on rwie się do kart, hulatyk, że traci, nic mu nie mówi, nie gniewa się; ale przecież trudno, ażeby w tych okropnych stosunkach moralnych i materyalnych, udawała wesołość, przymilała się, dogadzała mu, a tem samem pochwalała jego sposób życia i zachęcała go do niego.

Ale ona jest uczciwa i szczera, a gdy on drwi z jej przestróg i uwag, ona nie przyłoży ręki do upadku. Milczy i cierpi.

I on nazywa siebie nieszczęśliwym, on, któremu do szczęścia wystarcza dobry obiad, — uśmiechnęła się z goryczą, — on nieszczęśliwy, a cóż ona ma mówić!?

Nazywa mnie egoistką, i to kto? on, który dba tylko o siebie. Jeśli troszczy się o moje zdrowie, to tylko w swoim własnym interesie, przez egoizm męski, ażebym była wesoła, troskliwa o jego podniebienie. I zachciewa mu się pocałunków, czułości, niby to przeprasza, ale to brutal zmysłowy, wstrętny człowiek.

Czy choć raz mi współczuł, widząc, że jestem smutna i cierpiąca? Czy zrozumiał mnie kiedykolwiek? Może wówczas, gdy byłam ślepa, głucha i niema na wszystko i cały świat w nim widziałam.

Ale teraz przejrzałam, wiem, co on wart, jaka przyszłość mnie czeka i jakiego rodzaju mam otoczenie. Myślał, że się zmartwię jego wyjazdem, jeszcze czego! Jedź, będę miała więcej spokoju i ciszy.

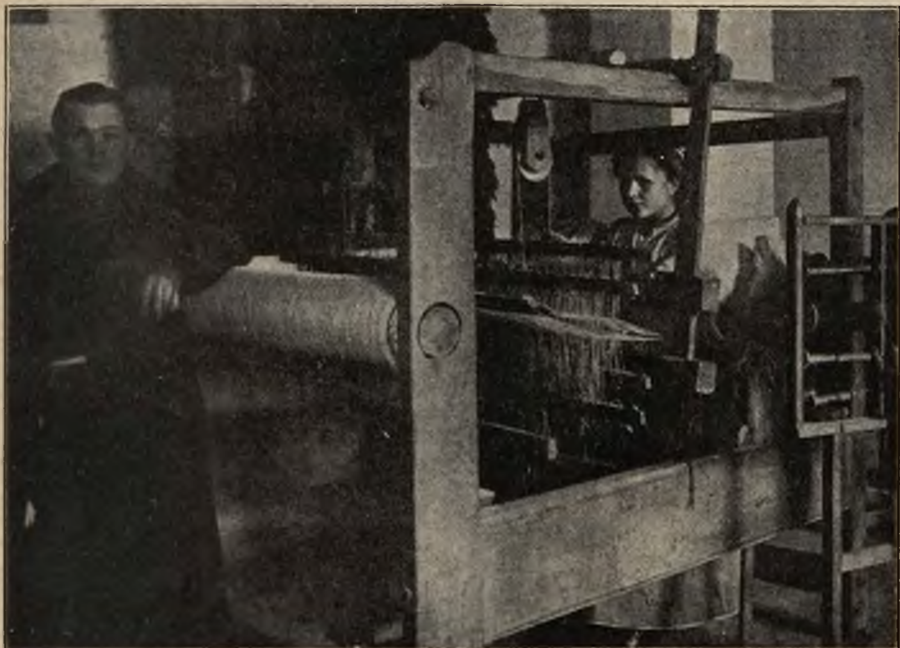
A teraz znów goście przyjeżdżają, będą hałasy, karty, pijatyka; tracą zdrowie i majątek; ale ona się nie pokaże, to ośmieliłoby ich i szaleliby całą noc, a przecież to rozpusta i grzech.

(Ciąg dalszy nastąpi).

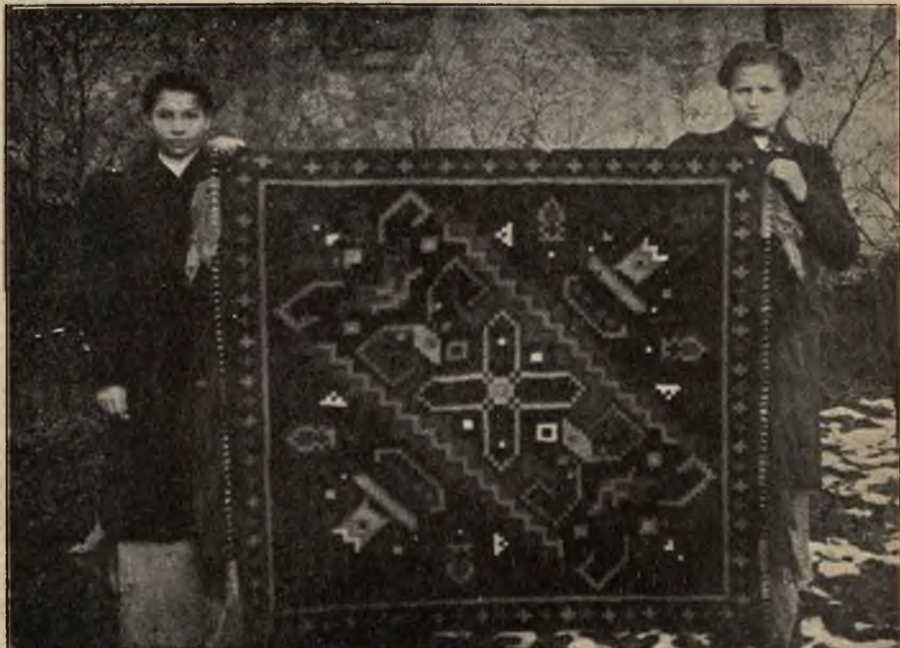
Placówka przemysłu ludowego.

Idea podniesienia ekonomicznego kraju, przez tworzenie jak najliczniejszych placówek przemysłu i handlu o charakterze wybitnie narodowym, coraz szersze zatacza kręgi. Przejęte duchem obywatelskim jednostki rozwijają w tym kierunku owocną działalność, która może się poszczycić poważnym plonem. W dzisiejszym numerze zamieszczamy illustracye pracowni kilimkarskiej, założonej niedawno przy Kole T. S. L. w Zbarażu, staraniem i kosztem ks. W. Niemca, miejscowego katechety. Po roku istnienia pracownia rozwija się znakomicie, a kilimy jej zjednały sobie uznanie doborem wzorów i starannością wykonania, nie tylko w okolicy, ale w całej Galicyi i powoli zaczynają rugować zagraniczną tandetę dywanową.

Dodać należy, że do rozwoju pracowni przyczynili się p. E. Gottwaldówna, która bezpłatnie udzielała lekcyi uczenicom i miejscowi O. O. Bernardyni, którzy pracowni udzielili bezpłatnego pomieszczenia w swoich zabudowaniach.



Placówka przemysłu ludowego: Pracownia kilimkarska przy Kole T. S. L. w Zbarażu.



Placówka przemysłu ludowego: Kilim, wykonany w pracowni kilimkarskiej T. S. L. w Zbarażu.

Z kresów polskich.

Oświata ludu jest podwaliną przyszłości każdego narodu, a tam, gdzie ten lud wystawiony jest na obce wpływy i wynarodowienie, staje się najważniejszą misyą narodową. To też na Śląsku, gdzie lud polski musi bronić się przed germanizacyą i czechizacyą, polska szkoła i polski nauczyciel mają za zadanie nieść nietylko oświatę, ale przedewszystkiem wszczepiać w dzieci ducha polskiego. Tę szczytną misyę siewców polskości na zagrożonych kresach ocenia należycie ludność polska Śląska, otaczając wychowawców swych dzieci szczególnem uznaniem i miłością. Wyrazem tych uczuś była też piękna uroczystość w Małych Kończycach przy Ostrawie.

W tej najdalej na południowym zachodzie Śląska położonej miejscowości, w gminie rządzonej przez Czechów (jest tam szkoła czeska i niemiecka publiczna) Zarząd główny Macierzy Cieszyńskiej założył przed 3 laty prywatną szkołę polską. Szkoła ta wraz z ochronką liczy obecnie 170 dzieci, których rodzice pochodzą wyłącznie z Galicyi. Kierownikiem tej szkoły był od samego początku p. Józef Prażmowski, który przez czas swego pobytu potrafił sobie zyskać ogólny szacunek i miłość nietylko dzieci, ale i ich rodziców. To też, gdy opuszczał on tę placówkę, udając się na stałą posadę do Toń pod Krakowem, urządzono mu w ubiegłą niedzielę uroczysty wieczór pożegnalny, na który przybyło przeszło 150 osób. Ustępującego nauczyciela żegnano ze łzami w oczach, dziękując za szczerą i owocną pracę w szkole i poza szkołą, a na pamiątkę ofiarowano mu fotografie, które zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Znamienny zwrot w dyplomacyi francuskiej.

Ostatnie wypadki polityczne przyniosły ważną zmianę w świecie dyplomatycznym, która może w przyszłości dopiero okazać swą doniosłość. Prawie równocześnie z objęciem rządów Francyi przez nowego prezydenta Poincarego został zmieniony francuski ambasador w Petersburgu. Stanowisko to jest bardzo ważne i odpowiedzialne. Rosya i Francya tworzą sojusz zaczepno-odporny, którego ostrze zwrócone jest przeciw Niemcom i po części Austryi, jako sojuszniczce Niemiec. Ambasador francuski przy dworze petersburgskim jest więc specyalną osobą zaufania, której zdanie może nieraz zaważyć na szali pokoju europejskiego.

Obecnie stanowisko to objął jeden z najlepszych dyplomatów francuskich, były minister Delcasse. Znany on jest jako wróg Niemiec. Już przed kilku laty w czasie zatargu francusko-niemieckiego z powodu Maroka, Delcasse, wówczas minister spraw zagranicznych, parł całą siłą do wojny z Niemcami i wobec swego nieprzejednanego stanowiska musiał podać się do dymisyi. Delcasse jednak zawsze, gdzie mógł, szkodził Niemcom, stając w poprzek ich zamiarom politycznym. Nie przyjąwszy obecnie portfelu ministeryalnego, ofiarowanego mu przez prez. Poincarego, Delcasse został ambasadorem w Petersburgu. Fakt ten wywołał silne wrażenie w całej Europie i dał powód do różnych kombinacyi polity-



Z kresów polskich: Uczestnicy pożegnalnej uroczystości na cześć p. Józefa Prażmowskiego, ustępującego kierownika szkoły polskiej w Małych Kończycach na Śląsku.



Z kresów polskich: Ochronka w Małych Kończycach na Śląsku.

cznych. Z zaciekawieniem świat dyplomatyczny oczekuje, jakie będą skutki nowej polityki francuskiej, której przedstawicielem w Petersburgu będzie tak wybitny dyplomata.

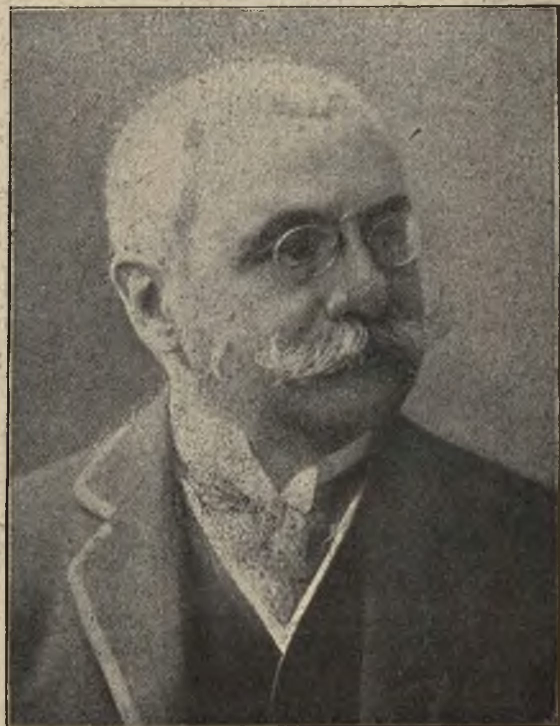
Przed końcem wojny.

Od tygodnia na placu boju na Bałkanach nastąpił zupełny zastój w operacyach wojennych. Niespodziewanie wojującym wojskom stanął na przeszkodzie inny nieprzyjaciel, niemal groźniejszy i niebezpieczniejszy niż kule, t. j. ostra zima. W okolicach Skutari, Czataldży, Gallipoli a nawet na równinie koło Adryanopola spadły ogromne śniegi, a w ślad za nimi chwyciły silne mrozy, które dochodzą do 15° C. Przed tym wrogiem, który w nieubłagany sposób dziesiątkuje obie armie, żołnierze kryć się muszą w jamach ziemnych i rowach, aby bodaj w głębi ziemi trochę się ogrzać. Zwłaszcza bardzo silnie ucierpiały wojska tureckie sprowadzone z Azyi, nie przywykłe do tak niskiej temperatury.

Operacye wojenne nie posuwają się zupełnie naprzód. Obie strony od dwóch tygodni zajmują te same pozycye, nie kwapiąc się do walki. Zdaje się, że siły przeciwników zaczynają się wyczerpywać. Turcy już na pole walki wysłali wszystkie swe siły, a braki uzupełniają z wielkimi trudnościami. Tak n. p. dla artyleryi rekwirują konie od dorożek. Także i Bułgarya, mając z boku ciągle wrogo usposobioną Rumunię, znacznie spuściła z wojowniczego tonu.

Mocarstwa na prośbę Turcyi podjęły znowu w Londynie próbę doprowadzenia do ponownego podjęcia rokowań, na co wprawdzie strony wojujące jeszcze się oficyalnie nie zgodziły, ale ku czemu okazują nieoficyalnie wielką ochotę. Prawdopodobnie więc wojna ma się już ku końcowi. Turcya zgodziła się na oddanie Adryanopola Bułgaryi, a tem samem usunięty został jedyny szkopuł, który właściwie wywołał drugą wojnę bałkańską. Również związek bałkański mniej więcej porozumiał się co do podziału zdobytych terytoryów.

Sprawę sporu bułgarsko-rumuńskiego ujęły w swe ręce mocarstwa, a rokowania pokojowe w tej sprawie prowadzone będą w Petersburgu. Także między wielkimi mocarstwami przyszło do porozumienia w najważniejszej sprawie utworzenia państwa albańskiego. Dwa najbardziej interesowane w tej kwestyi rządy, rosyjski i austryacki, porozumiały się o tyle, że o jakichś zawikłaniach wojennych nie ma obecnie już mowy.



Znamienny zwrot w dyplomacyi francuskiej: Teofil Delcassé, nowy ambasador francuski w Petersburgu.

Za kilka dni prawdopodobnie karty historyi wojen bałkańskich zostaną zamknięte ogólnym pokojem. Zmieni on geograficzną kartę Europy dosyć znacznie. Jako nowy czynnik w polityce europejskiej wystąpią silne państwa słowiańskie, które z pewnością zechcą w koncercie wielkich mocarstw w przyszłości grać niepoślednie skrzypce.



Placówka przemysłu ludowego: Pierwsze uczennice pracowni kilimkarskiej w Zbarażu z kierownikiem ks. Niemcem i nauczycielką p. Gottwaldówną na czele.



Przed końcem wojny: Księżna grecka Marya, z domu Bonaparte, jako sanitaryuszka w szpitalu wojskowym.





Pierwsze posiedzenie nowej lwowskiej Rady m.: Członkowie nowej Rady spieszą na pierwsze posiedzenie.
Radni: M. Zawojski, W Rawski, F. Ohly. Radni: Prez. Neuman, wiceprez. Stahl, wiceprez. Rutowski, b. minister dr. Głąbiński.

Pierwsze posiedzenie nowej lwowskiej Rady miejskiej.

Po namiętnej walce wyborczej zwyciężyła we Lwowie przy wyborach do Rady miejskiej lista kandydatów bloku stronnictw narodowych. Kandydaci opozycyi pozostali w ogromnej mniejszości, zdobywając zaledwie $^{1}/_{3}$ część oddanych głosów. Ostatecznie więc rozterki, które przez szereg miesięcy nie pozwalały na normalny tok prac miejskiej Rady we Lwowie, zostały usunięte i nowa Rada, pełna dobrych chęci do pracy, rozpoczyna swe urzędowanie.

W ubiegłym tygodniu odbyło się bardzo uroczyście pierwsze inauguracyjne posiedzenie nowej Rady. Poprzedziły je uroczyste nabożeństwa w kościele archikatedralnym łacińskim i w postępowej synagodze.

Następnie zebrali się wszyscy członkowie nowej Rady w pięknie przystrojonej sali ratuszowej. Prezydent i wiceprezydenci wystąpili w łańcuchach urzędowych. Przybyli również wszyscy urzędnicy magistratu i kierownicy zakładów gminnych oraz bardzo licznie publiczność, która zapełniła szczelnie obie galerye.

Po godzinie 11 prezydent Neuman otworzył posiedzenie uroczystą przemową. Wskazał on w niej na wielkie zadania, jakie czekają nową Radę w obecnej tak poważnej chwili. Zwrócił się także z wezwaniem do nowej Rady z tem, że jedynie konsolidacya sił może dopomódz do przetrwania obecnego



Pierwsze posiedzenie nowej lwowskiej Rady m.: Radni: Dr. Stesłowicz, A. Soupper, dr. Schneider, dr. Obmiński.



Pierwsze posiedzenie nowej lwowskiej Rady m.: Radni: J. Soleski, dr. Piepes-Poratyński, J Ihnatowicz, A. Kauczyński, Bol. Lewicki, J Schirmer, J. Olszewski. (Fot. M. Münz, Lwów).



Pierwsze posiedzenie nowej lwowskiej Rady m.: Radni: Töpfer, W. Gubrynowicz, dr. Przygodzki, M. Paszkudzki, dr. Thullie, dr. Dziwiński, T. Höfflinger.



Pierwsze posiedzenie nowej lwowskiej Rady m.: Radni: W. Włodzimirski, M. Makowicz, A. Bieniecki, dr. Rutowski.



Przed końcem wojny: Żołnierze tureccy w Skutari ostrzeliwują wojska czarnogórskie, oblegające miasto.

przesilenia ekonomicznego, jakie miasta nasze i kraj cały przechodzą. W końcu przywitał prezydent zebrane w sali gremium urzędników magistratu.

Illustracye nasze przedstawiają szereg zdjęć fotograficznych dokonanych w chwili, gdy członkowie nowej Rady spieszą na posiedzenie do ratusza.

Koło pedagogiczne na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Często dziś dają się słyszeć różnorodne zarzuty, stawiane szkolnictwu polskiemu wogóle, galicyjskiemu w szczególności. Utyskiwania często bywają przesadzone, a wynikają z nieznajomości stosunków, nie rzadko jednak opierają się na istotnych, poważnych niedomaganiach naszego systemu wychowawczego. Wszystkie te rozprawy publiczne i prywatne nie wychodziły dotychczas poza obręb frazesów. Grono słuchaczy Uniwersytetu Jagiellońskiego postanowiło przerwać jałowe, nie prowadzące do niczego biadania i rozpocząć dzieło przyszłej reformy stosunków szkolnych od wykształcenia światłych, świadomych swego celu i odpowiedzialności, całkowicie oddanych sprawie czystej nauki i wychowania szeregów nauczycielskich. Dla dopięcia tego celu zawiązało się na wszechnicy Jagiellońskiej Koło pedagogiczne, uzyskało życzliwe poparcie władz uniwersyteckich i zatwierdzenie odnośnego statutu przez namiestnictwo, z początkiem zaś przyszłego półrocza rozpocznie działalność wewnętrzną.

Zadaniem Koła jest stworzenie ośrodka, skupiającego przyszłych pracowników na niwie pedagogicznej, budzenie wśród nich samowiedzy i fachowego, zawodowego przygotowania. Srodkiem ku temu będą peryodyczne odczyty, wieczory dyskusyjne na temat ciekawszych kwestyi z tej dziedziny, wskazywanie znakomitych dzieł odnośnej treści, czytelnia czasopism pedagogicznych, wreszcie jak najbardziej trwały a istotny kontakt zarówno z teoretykami naszej pedagogiki, jak z ogniskami praktyki wychowawczej.



Koło pedagogiczne na Uniwersytecie Jagiellońskim: Komitet organizacyjny Koła z kuratorem docentem dr. Kulczyńskim w pośrodku.

Wstrząsający dramat rodzinny.

Od pewnego czasu kroniki Lwowa notują jedną zbrodnię za drugą. Ma się wrażenie, jak gdyby nad miastem zawisła jakaś epidemia samobójstw i zabójstw. W ubiegłym tygodniu po raz drugi Lwów był widownią wstrząsającego dramatu. Najpierw zginął dr. Kruszyński, zabity przez Janczarównę, a kilka dni potem przy ul. Żółkiewskiej konduktor tramwaju Niemczycki strzelił do żony swej i dwojga małych dzieci, popełniając w końcu sam samobójstwo. Młode, bo zaledwie kilkoletnie małżeństwo od pewnego czasu żyło w niezgodzie. On rozpił się, zaniedbywał pracę, grożono mu wydaleniem, w stosunku do żony był brutalny, a podobno powodem była zazdrość. Wreszcie przed kilku dniami po gwałtownej scenie między małżonkami Anna Niemczycka zabrawszy dzieci, 3½ letniego i 1½ rocznego chłopaczka, przeniosła się do matki na Żółkiewskie.

Niemczycki zaczął więc nachodzić dom, w którym żona szukała przytułku i groźbami starał się nakłonić ją do powrotu, albo do oddania bodaj dzieci. Kiedy ta stanowczo odmówiła, zjawił się Niemczycki pewnego dnia popołudniu znowu u żony. Przyniósł jedzenie dla niej i dzieci. Zachowywał się na pozór spokojnie. Kiedy wszyscy siedzieli przy stole, on nagle wyjął rewolwer i zaczął strzelać do wszystkich. Najpierw padł śmiertelnie ugodzony starszy synek Staś, po nim młodszy Romuald, a wreszcie żona, do której zbrodniarz strzelił dwa razy. Widząc straszne skutki swego czynu, Niemczycki strzelił sobie w prawą skroń.

Na odgłos strzałów pospieszono z pomocą. Całą rodzinę odwieziono do szpitala, gdzie Niemczycki i starszy jego synek zmarli. Żonę i najmłodsze dziecko uda się uratować.



Wstrząsający dramat rodzinny:
Dom przy ul. Żółkiewskiej, gdzie rozegrał się dramat rodziny Niemczyckich. Pokój, w którym konduktor Władysław Niemczycki strzelił do żony i dwojga dzieci.

LEON SAZIE.

ŻIGOMAR

STRASZLIWY BANDYTA.

32

— Są jeszcze inne środki, których pan nie zna.
— Owszem, lubię nowe wynalazki.
— Przysięga pan?
— Nie!
— Pan musi przysiądz!
— Przepraszam — rzekł Japończyk — ale pan zmienia role. Może pan jest naczelnikiem dla tych tam ludzi — dla mnie pan jest podwładnym.
— A to co ma znaczyć.
— To, że używałem pana jako narzędzia i że płaciłem panu za to. Jeżeli ktoś tu może rozkazywać, to tylko ja. W żadnym zaś wypadku pan.
— Pańskie życie jest w mojem ręku. Więc, milczenie albo śmierć!
— Dosyć! Pan jeszcze raz zapomina, z kim pan ma do czynienia. Ja jestem generał baron Osaka — a pan bandyta — może znakomity, ale niemniej bandyta. Niechże więc pan trudni się swojem hultajskiem rzemiosłem, ja spełniam swe obowiązki żołnierza.

Will Wilson wstał i w ręku błysnął mu sztylet. Ale w tej chwili umieszczony na stole aparat telegraficzny zastukał. Wilson zatrzymał się, słuchając.

— Baczność! — zawołali jednocześnie ci z obecnych, którzy znali alfabet telegraficzny.

Baron Osaka uśmiechnął się.

— Alarm! Alarm!

Aparat stukał dalej:

— Uciekajcie! Policya w hotelu...
— Policya! — wrzasnął Otto Friedenstrass.
— Uciekajcie — powtórzył aparat — szybko! — I zaraz dodał:
— Paulin Broquet!

Otto Friedenstrass na dźwięk tego nazwiska, wymienionego przez obecnych, poczuł, że nogi uginają się pod nim i runął na fotel. Will Wilson rzekł:

— Uciekajcie!

Nastąpiło straszliwe zamieszanie. Will Wilson jednakże nie stracił zimnej krwi, podszedł do Japończyka.

— A pan tu zostanie!

Podniósł sztylet i uderzył. Rozległ się ryk barona Friedenstrass. Odzyskawszy siły w nogach, gruby Niemiec skoczył wprost ku drzwiom, przewracając po drodze Japończyka. Uderzenie, przeznaczone dla barona Osaka, otrzymały potężne plecy Friedenstrassa, który z tkwiącym w nich sztyletem umknął, tratując wszystkich po drodze.

ROZDZIAŁ XXV.

Gdy Paulin Broquet z Gabryelem, ajentami i komisarzem policyi wszedł do salonu, zastał w nim tylko związanego barona Osaka, reszta obecnych na tem zebraniu umknęła. Personal hotelowy czynił wszystko, by utrudnić detektywowi działanie, oprowadzono go po różnych numerach, udawano ogromną gorliwość i postępowano tak, by opóźnić wkroczenie policyi do części gmachu, gdzie się znajdował poszukiwany salon. Wystrzał rewolwerowy, dany przez Japończyka podczas szamotania się z ludźmi Zigomara, ułatwił detektywowi sprawę. Przestał słuchać portiera, który go oprowadzał i udał się wprost w kierunku, skąd usłyszał huk wystrzału. Jednakże zanim doszedł do salonu, wszyscy uczestnicy zebrania już znikli. Na ziemi, twarzą do dywanu leżał związany człowiek.

Paulin Broquet podskoczył i postawił go na nogi.

— Japończyk! — krzyknął ze zdziwieniem.

Baron Osaka szybko przyszedł do siebie po uderzeniu, jakie otrzymał od grubego Niemca. Twarz jego przybrała zwykły spokojny wyraz.

— Dziękuję panu, panie Broquet — rzekł — przybył pan w sam czas, żeby uratować mnie od śmierci.

Paulin Broquet kazał uwolnić go z więzów.

— Dlaczego? Jakim sposobem pan się tu znajduje i w takim stanie?
— Jestem tu, ponieważ miałem stosunki z tymi ludźmi; byłem związany, ponieważ stosunki te zerwałem. O nic więcej proszę mnie nie pytać.
— Muszę pana tylko prosić o bilet wizytowy i uprzedzić, że będzie pan badany przez sędziego śledczego.
— To bardzo naturalne — rzekł baron, podając swą kartę.

Teraz jest pan wolny.

Gdy detektyw powrócił ze swemi ludźmi do biura po tej nieudanej wyprawie, Gabryel spytał:

Dlaczego pan, panie szefie, wypuścił tego Japończyka?

— A po cóż miałem go zatrzymywać? Baron Osaka i tak nic by nam nie powiedział, a mielibyśmy dyplomatyczne powikłania z rządem japońskim. A i tak niedługo będziemy wiedzieli, dlaczego ciągle na naszej drodze spotykamy Japończyków.

Wieczorem Paulin Broquet miał długą naradę ze swym pomocnikiem Hermanem, ktory od pewnego czasu mieszkał w Stella Palace hotelu, jako bogaty niemiecki turysta.

— Salon, w którym odbywają się te zebrania — mówił Herman — jest specyalnie w tym celu urządzony i zabezpieczony przed najściem policyi. Połączony jest z lożą portyera telefonem i telegrafem. W loży dyżuruje zawsze specyalny członek bandy, który daje sygnał, w razie zjawienia się policyi. Dlatego nie można było ich złapać.

— Tak, to bardzo naturalne. Dajmy temu spokój na razie. Wróćmy do naszych spraw. Czy wiesz, kim jest groom hotelowy?

Naturalnie, panie szefie — to jest hrabina Wassowia. która znikła po aferze Simonet'a.

— Dobrze. Dowiedz się teraz, gdzie mieszka hrabina i gdzie ją można złapać.

— Hrabina mieszka w hotelu. Wieczorem przestaje być groomem i powraca do swego normalnego stanu. Zajmuje w hotelu apartament wraz z jednym z bandytów, który odgrywa rolę jej ojca. Rewidowałem ich mieszkanie i nie znalazłem nic ciekawego.

— Dobrze. W takim razie musimy złapać cyklistę po za hotelem. I trzeba to zrobić tak, żeby nikt, nawet Zigomar nie domyślił się w pierwszej chwili, co się stało z hrabiuą.

Na drugi dzień Herman, jako lokator hotelu kazał wezwać do siebie grooma cyklistę i polecił mu odwieźć jak najprędzej bilecik do pewnej damy, zamieszkałej w pobliżu placu Pereire Groom, inaczej mówiąc, hrabina Wassowia przygotowała rower i udała się z bilecikiem najpierw do loży portiera. Ten otworzył zręcznie kopertę i przeczytał list, w którym Herman, przewidując taką kontrolę, naznaczał schadzkę miłosną. Następnie portier sięgnął po księgę adresową i znalazł w niej nazwisko i adres, odpowiadające adresowi koperty. Po dopełnieniu tych środków ostrożności, portier oddał zaklejony list cykliście, oświadczając, że może jechać bezpiecznie.

Groom wskoczył na rower i szybko odjechał. Na placu Pereire spotkał się z cyklistą, wiozącym dzienniki, a jadącym równie szybko, jak nieostrożnie. Uderzenie rowerów, dwa okrzyki i obaj cykliści runęli na bruk. Natychmiast otoczył ich tłum gapiów. Zjawili się też dwaj policyanci. Jeden z nich podniósł małego grooma i chociaż ten wyrywał się, twierdząc, że nic mu się nie stało, wziął go mocno pod rękę i zaprowadził do pobliskiej apteki.

Drugi policyant przesłuchał cyklistę, wiozącego dzienniki, zanotował jego nazwisko i adres i pozwolił mu odjechać. Cyklistą tym był Sidi, któremu naturalnie upadek nie zaszkodził. Odjechał, wesoło pogwizdując.

Tymczasem w aptece Paulin Broquet, przebrany za ajenta, prosił magistra o zbadanie grooma.

— Ten malec — mówił — twierdzi, że nic mu się nie stało. Ale przy takich wypadkach rzadko się wychodzi bez szwanku. Proszę więc, niech pan będzie dobry zbadać młodego człowieka i przekonać się, czy nie ma nic nadwyrężonego.

Aptekarz zabrał się do badania, czemu groom gwałtownie się opierał. Paulin Broquet starał się wytłumaczyć:

Takie prawo, mój mały — rzekł. — Musisz się poddać badaniu. Jeżeli okaże się, że jesteś zdrów, puszczą cię wolno.

Mówiąc to, bez ceremonii rozpiął mu kurtkę. Ukazała się elegancka damska koszula, okrywająca kobiece kształty.

Paulin Broquet roześmiał się.

— A co? Nie mówiłem, że ten malec musiał ponabijać sobie guzów.

I dodał, patrząc na grooma.

— Uderzenie parasolem przez poczciwego mieszczucha nie było takie niebezpieczne!

Mały cyklista podskoczył:

— Paulin Broquet! — krzyknął.
— We własnej osobie, hrabino!

Hrabina zemdlała.

— Doskonale — rzekł detektyw — to nam oszczędzi krzyków, płaczu i tym podobnych historyi.

W tej chwili przed apteką zatrzymał się automobil. Paulin Broquet owinął hrabinę w płaszcz i kazał zanieść ją do automobilu. Sam usiadł obok niej i automobil bez rozkazu ruszył. Zatrzymał się przed szpitalem l'Hotel-Dieu, gdzie hrabinę rozebrano i położono do łóżka w zarezerwowanym dla niej osobnym pokoiku, przy którym pełniło straż dwu ludzi z brygady detektywa. Paulin Broquet wrócił do domu, zadowolony z wyprawy. Gdy kończył obiad, na który zaprosił Gabryela, służący podał mu kartę.

Pułkownik de Fontgrive! — zawołał detektyw, marszcząc brwi. Będziemy mieli znowu trochę kłopotu!

ROZDZIAŁ XXVI.

Pojedynek.

Paulin Broquet nie mylił się. Pułkownik powitał go radośnie.

— Biedny pułkownik — pomyślał detektyw — napewno popełnił jakieś kapitalne głupstwo!
— Drogi panie Broquet — zaczął pułkownik — przyszedłem panu powiedzieć...
— Że ma pan pojedynek z markizem don Izigo Martolo — dokończył za niego detektyw.
— Pan już wie o tem?
— Naturalnie. Inaczej przecież nie miałbym przyjemności widzieć pana u siebie, zwłaszcza o tej godzinie. Ale niech mi pan opowie, jak się to stało?
— Bardzo prosto. Przypadek, którego szukałem...
— Dostarczono go panu. Spotkał się pan z markizem, potrącił go pan, nazwał go pan gburem. Wymiana biletów.
— Tak. Teraz poślę mu świadków.
— Czy pan już wybrał świadków.
— Nie jeszcze. Chcę prosić dwu przyjaciół oficerów.
— Czy pan pozwoli, że ja wskażę panu dwu dobrych świadków, oficerów, z których jeden jest przyjacielem pana.
— Z przyjemnością.
— Kapitan Malther.
— Właśnie o nim myślałem.
— I kapitan La Rochardie.
— Znam go. Dzielny żołnierz, świetny kawalerzysta. Doskonale, zgadzam się na ten wybór. Tylko, czy nie sądzi pan, że kapitan La Rochardie jest za gwałtowny?
— To też kapitan Malther będzie go hamował. A w tej sprawie musi być jeden przynajmniej, któryby w razie konieczności mógł wybuchnąć.

Gdy pułkownik wyszedł — detektyw rzekł do Gabryela:

— Wciągną go w jakaś zasadzkę i poturbują. A wiesz, w jakim celu? Żeby sprawę armaty Rimailho oddano innemu oficerowi, mniej doświadczonemu i ostrożnemu, któremu łatwiej będzie wykraść plany.

Detektyw zatelefonował natychmiast do pana Simonet'a z zapytaniem, gdzie by mógł znaleźć kapitana La Rochardie. Szczęśliwym trafem kapitan znajdował się właśnie u Simonet'a.

— Kapitanie — rzekł detektyw — pan będzie świadkiem pułkownika de Fontgrive. Chcą go wciągnąć w zasadzkę.
— Ci, których pan już zna.
— Zigomar! Znowu?
— Tak, znowu Zigomar! Ale tym razem jego plan nie uda się. Miejmy nadzieję, że obiorą szpady. W każdym razie proszę nic nie robić bez porozumienia się ze mną.
— Naturalnie. A kto jest drugim świadkiem?
— Kapitan Malther.

Po ukończeniu tej rozmowy — detektyw udał się do kapitana Malthera i udzielił mu informacyi i instrukcyi.

Na drugi dzień rano spotkał się z obu świadkami w mieszkaniu pułkownika.

— Czy pan się fechtował?
— O, bardzo dużo — ogromnie lubię fechtunek.
— Tem lepiej.
— Na florety biję się doskonale.
— Tem gorzej!
— Jakto? — krzyknął pułkownik.
— Floret, a szpada, to wielka różnica.
— Jednakże floret to podstawa.
— Tak twierdzą niektórzy. Zresztą, zrobimy próbę. Proszę wziąć szpadę. Tak. Teraz baczność! *En garde!*

Pułkownik stanął w przepisanej pozycyi.

— To mi wystarcza! — rzekł Paulin Broquet. — Proszę tylko bardziej wyprostować rękę, tak. Powinno pójść dobrze, ma pan odwagę i oryentacyę, szpada w porządku. Sądzę, że Zigomar będzie ostrożny i nie rzuci się odrazu na pańską szpadę.

W dniu spotkania, które miało się odbyć w pry-

watnym majątku w sąsiedztwie Paryża, Paulin Broquet poczynił kroki, by zapewnić pułkownikowi bezpieczeństwo. Rozstawił swych ludzi w pobliżu miejsca spotkania; Gabryel i L'Amorce byli ukryci w jednym z budynków, sam zaś detektyw spełniał obowiązki służącego pułkownika i był ciągle przy nim. Kapitan La Rochardie, który miał dyrygować pojedynkiem, przyniósł grubą żelazną laskę.

Rozbiję nią głowę markizowi, jeśli ośmieli się walczyć wbrew prawidłom.

Gdy pułkownik wyszedł z pawilonu, gdzie się przebierał, trzymał w lewej ręce małą husteczkę koronkową. Detektyw dojrzał ją.

— Pułkowniku! — rzekł szybko szeptem — będzie pan bił za nią! ją chce pan pomścić!...

— Tak! I muszę go zabić!

— Tego panu nie zabraniam. Ale pozwalam sobie jeszcze raz radzić ostrożność. W bitwie na szpady jest to najlepsze i najpewniejsze.

Ukazał się markiz don Martolo ze swymi świadkami, baronem de la Ronconliére i hrabią de La Pieniére. Markiz, ubrany w jedwabny trykot, wyglądał przy swych świadkach, jak atleta. Po załatwieniu przedwstępnych formalności kapitan La Rochardie zakomenderował swym potężnym głosem.

— Zaczynajcie, panowie!

I cofnął się, trzymając w ręku swą żelazną laskę, gotów każdej chwili użyć jej, przy pierwszym fałszywym ruchu markiza. Ale markiz za dobrze władał bronią, by uciekać się do podstępu. Niemniej znalazł godnego siebie przeciwnika w pułkowniku.

Pierwsze spotkanie przeszło bez rezultatu. Pułkownik de Fontgrive siłą woli opanował wzburzenie i nienawiść, jaką napawał go widok mordercy jego ukochanej. Walczył ze spokojem i zimną krwią. Markiz natomiast stopniowo poczynał się gorączkować, nacierał żywiej — pułkownik pozostał chłodny i w pewnej chwili ostrze jego szpady dotknęło piersi przeciwnika. Markiz odskoczył w bok.

— Stop! — krzyknął La Rochardie, przypuszczając, że rana jest poważna.

Lekarze i świadkowie oznajmili, że jest to tylko lekkie zadraśnięcie i walka rozpoczęła się na nowo. Markiz, podniecony, postanowił skończyć. Natarł z całą siłą, starając się wytrącić broń z ręki przeciwnika. Pułkownik zaczął słabnąć, markiz, korzystając z tego, uderzył potężnie w jego szpadę i pchnął, pułkownik cofnął się instynktownie o krok, wyciągając szpadę. Obaj jednocześnie odnieśli rany, pułkownik w ramię, markiz w pierś.

Pojedynek skończył się, ku wielkiej radości przyjaciół pułkownika, którego rana nie była ciężką. Przez kurtuazyę markiz polecił baronowi de La Rouconliére zapytać się pułkownika, czy zechce uścisnąć, jego dłoń. Pułkownik kategorycznie odmówił. Baron nie nalegał.

Chociaż rana pułkownika nie była groźną, jednakże wieczorem przyszła gorączka.

— To się fatalnie składa — rzekł ranny — bo jutro ma się odbyć oficyalna próba nowej armaty Rimailho w obecności ministra wojny.

Gdy pułkownik zasnął, po zażyciu lekarstwa — Paulin Broquet rzekł do jego świadków.

— Oto jest rozwiązanie zagadki, dlaczego markiz zgodził się na pojedynek. Na jutrzejszej próbie pułkownik nie będzie obecnym. Zastąpi go inny oficer — a z tym Zigomar da sobie radę.

— Tak — odparł kapitan La Rochardie — ale pan tam będzie. A to wystarcza, żeby Zigomar raz jeszcze był pobity.

ROZDZIAŁ XXVII.

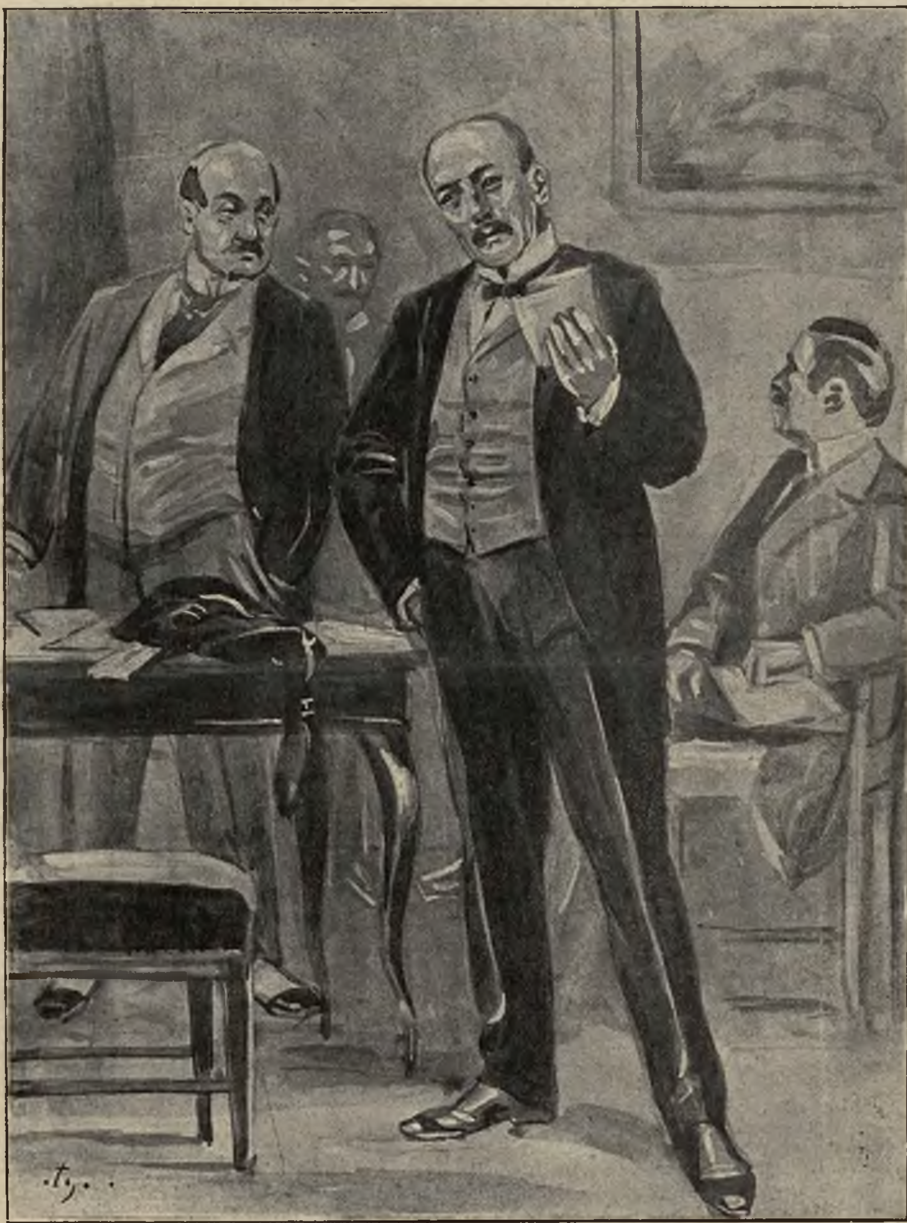
Działo Rimailho.

Na drugi dzień w specyalnym budynku, wzniesionym w tym celu na polu ćwiczeń artyleryi, umieszczono armaty typu Rimailho. Pułkownik de Fontgrive, pomimo, iż bardzo cierpiał, kazał się tam zawieźć i złożyć na polowem łóżku Przy boku pułkownika znajdował się zaufany artylerzysta, który czuwał nad dokumentami. Był nim sam Paulin Broquet.

W budynku znajdowali się tylko przedstawiciele armii. Daleko poza kordonem, otaczającym pole ćwiczeń, widać było grupki ludzi, uzbrojonych w lornety polowe. Nic jednak dojrzeć nie mogli, prócz rezultatów strzelania.

Pułkownik, leżąc na swem łóżku, dawał ministrowi objaśnienia dotyczące konstrukcyi i zalet nowej armaty. Po skończeniu próby, pułkownik polecił opiekę nad dokumentami swemu podwładnemu kapitanowi Gérard. Dokumenty były schowane w dużej skórzanej torbie, nad którą mieli czuwać dwaj artylerzyści. Ale Paulin Broquet nie dowierzał, nie był pewny. Za poprzedniem porozumieniem się z pułkownikiem, a nie mówiąc nic kapitanowi Gérard, włożył do torby inne papiery, zaś prawdziwe dokumenty umieścił w obszernej kieszeni z nieprzemakalnego płótna, a zawieszonej na piersi pod mundurem. W taki sposób on sam strzegł sekretu nowej armaty, o zdobycie którego tak się ubiegali Niemcy i Japończycy.

Artylerzysta, niosący torbę, udał się do szkoły artyleryi. by w biurze kapitana Gérard schować dokumenty. W godzinę później opuścił pole ćwiczeń



Zaklął straszliwie.

Paulin Broquet w towarzystwie czterech innych żołnierzy, którzy byli jego ajentami. Godzina, którą spędził w budynku, gdzie się odbywały próby, potrzebna była do przygotowania pułapki dla tych, którzy mieliby ochotę, pomimo wart, zajrzeć do armat.

Zigomar, który ze swą bandą czuwał przy drodze, wiodącej z pola ćwiczeń do Paryża, widział ogromną torbę, którą niósł artylerzysta, towarzyszący kapitanowi Gérard.

— Tę torbę musimy zdobyć! — rzekł do swych towarzyszy.

Artylerzysta, niosący torbę z dokumentami, udał się wprost do szkoły artyleryi i tam w biurze kapitana Gérard schował do kasy torbę, zamknął kasę i poszedł do koszar na obiad. Skończywszy jedzenie, zapalił fajkę i wyszedł na dziedziniec. W tej chwili podszedł do niego inny artylerzysta.

— Nareszcie cię znalazłem!

— A o co chodzi?

— Pędzę za tobą z rozkazem kapitana Gérard.

— Z jakim rozkazem?

— Masz zanieść torbę z dokumentami do pułkownika de Fontgrive.

— Otrzymałem rozkaz, żeby torbę zanieść do szkoły artyleryi.

— Teraz zmienili rozporządzenie.

— Masz jaki papier?

— Naturalnie.

I przybyły podał mu rozkaz, opatrzony pieczęcią i podpisem kapitana Gérard. Wszystko było w porządku. Artylerzysta, mrucząc pod nosem przekleństwa, nałożył świeżą fajkę i ruszył w stronę szkoły artyleryi po swą torbę. Gdy przechodził, niosąc torbę pod pachą przez skwer Inwalidów, pusty i ciemny o tej porze, otrzymał nagle potężne uderzenie w głowę i zwalił się na ziemię, zemdlony. Gdy po kilku minutach przyszedł do siebie — torba znikła. Artylerzysta, zrozpaczony, począł biedz na oślep przed siebie, krzycząc: „Moja torba! Skradziono mi moją torbę!

Tymczasem Zigomar, radosny, tryumfujący pędził automobilem przez ulice Paryża, unosząc torbę z dokumentami. Przybywszy do pałacyku markiza don Martolo, Zigomar pokazał torbę zebranym tam przyjaciołom.

Niech żyje Zigomar! — zawołali.

— Szampana! — rozkazał markiz.

Pito za powodzenie ekspedycyi, kpiąc z Paulin'a Broquet'a. Markiz otworzył torbę i rozłożył na dużym stole dokumenty.

— Oto papiery — rzekł — które kosztowały nas tyle zachodu i straconego czasu. Ostatecznie jednak zwyciężyliśmy!

Zaledwie jednak przejrzał parę dokumentów, zaklął straszliwie i uderzył pięścią w stół

Co takiego? Co się stało? — zapytano z niepokojem.

— To są te same dokumenty, których nam już raz dostarczyła pani Garitza. Fałszywe!

Rozległy się okrzyki wściekłości i przekleństwa. Ale markiz szybko odzyskał swoją krew.

— Trudno — rzekł — zwycięstwo nie przychodzi tak łatwo. Tym większy będzie tryumf, gdy je wreszcie osiągniemy. A tego możecie być pewni! Tymczasem musimy się dowiedzieć, co uczyniła hrabina.

Zadzwonił i rozkazał służącemu.

— Poproś hrabinę, żeby zechciała tu przyjść.

Po chwili ukazała się hrabina, Pepa d'Ortega, jak zawsze, piękna, z twarzą rozjaśnioną wesołym uśmiechem.

— Tak — rzekła — udało mi się!

— Chodzi o hrabinę Wassowia — rzekł markiz do swych przyjaciół — którą Paulin Broquet trzyma w szpitalu pod dobrą strażą. Proszę, opowiedz nam, hrabino, o swojej wyprawie.

— Udałam się do szpitala l'Hotel Dieu, jako dama z Towarzystwa Dobroczynności. Wpuszczono mnie do pokoju, gdzie leży hrabina. Ajent Paulina Broquet'a czuwa przy jej drzwiach. Stojąc przy łóżku chorej upuściłam torebkę i podnosząc ją, wsunęłam pod poduszkę pakiet, zawierający potrzebne do ucieczki przyrządy i kartkę z planem szpitala i instrukcyami. Reszta do was należy, panowie.

Markiz podziękował i rzekł spoglądając na zegarek:

— Zbliża się naznaczona godzina, chodźmy dopomódz hrabinie i odwdzięczyć się Paulinowi Broquetowi za torbę z fałszywymi dokumentami.

Wkrótce później ludzie Zigomara, rozstawieni w pobliżu szpitala czekali na ukazanie się w oknie hrabiny Wassowia w ubraniu infirmierki.

Hrabina odczytała instrukcyę i przestudyowała plan szpitala i gdy noc zapadła, przygotowała się do ucieczki. Wstała z łóżka. podeszła na palcach do drzwi i poczęła nadsłuchiwać. Po chwili przekonała się, że ajent był na straży, siedząc na krześle przy samych drzwiach. Wowczas hrabina wyjęła z zawiniątka, zostawionego przez hrabinę d'Ortega, cienką gumową rurkę, zakończoną gruszką. Koniec rurki włożyła do dziurki od klucza i nacisnęła gruszkę, rozpylając w ten sposób w korytarzu mocny indyjski narkotyk.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Niebezpieczny wypadek tramwajowy.

W większych miastach, przy skomplikowanych urządzeniach współczesnego życia, na każdym niemal kroku czyha na ludzi niebezpieczeństwo. Już szybki ruch kołowy a zwłaszcza tramwajów elektrycznych pochłania stale liczne ofiary. Nie brak przytem wypadków, które mogą spowodować straszną katastrofę. Taki niebezpieczny wypadek tramwajowy zdarzył się w tych dniach w Warszawie. Jeden z wozów tramwajowych oberwał kabel elektryczny, który spadając, mógł zabić dziesiątki osób. Na szczęście, skończyło się tylko na dłuższej przerwie w ruchu tramwajowym i zatarasowaniu ulic stojącymi wagonami kolei elektrycznej.

Illustracye nasze przedstawiają oberwany kabel i wagon, który spowodował wypadek.



Niebezpieczny wypadek tramwajowy: Zerwany kabel tramwaju elektrycznego w Warszawie. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).



Niebezpieczny wypadek tramwajowy: Wagon, który spowodował zerwanie kabla. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

Prawdziwa zima.

Natura u nas zastrejkowała tego roku. Przez szereg miesięcy czekaliśmy na prawdziwą zimę, a zamiast niej mamy tylko naprzemian deszcz i mróz, czasem jakichś parę płatków śniegu, a na drugi dzień znowu uśmiech pięknej wiosny. Zwolennicy sportów zimowych muszą urządzać wyprawy w góry, aby tam dopiero znaleźć dość śniegu do używania sanny lub jazdy na ski.

Są jednak jeszcze kraje, gdzie zima nie była taką zwodniczą, jak u nas. Illustracya nasza przedstawia krajobraz lasu w Finlandyi, gdzie zima rozgościła się w całej pełni, ubierając drzewa w strojne białe szaty, a zapalając w blaskach słońca zimowego miliony brylantowych iskierek lodowych.

Nie przywykliśmy do tego, aby nas zima traktowała tak po macoszemu, to też z pewną zazdrością oglądamy fotografię tego przepięknego krajobrazu.

Klucz polityki europejskiej.

(Do illustracyi na str. 4).

Walka dyplomatów państw europejskich, walka zacięta, prowadzona od szeregu lat, koncentruje się około jednego ogniska, które w każdej chwili może wzniecić pożogę wojny. Tem groźnem dla pokoju ogniskiem polityki europejskiej są Dardanelle. Jeśli dzisiaj państwa europejskie nie chcą zupełnego wyparcia Turcyi z Europy, jeśli pragną jej bodaj skrawek ziemi tutaj zachować, to w wielkiej mierze czynią to dlatego, aby nie poruszać kwestyi posiadania Dardanellów. Stanowią one bowiem niejako klucz do rozległych wpływów dążących na Wschód. Zarówno jako morska droga handlowa, jak i jako punkt strategiczny dla tych, którzy chcą uzyskać przeważający wpływ nad morzem Śródziemnem, Dardanelle są jedną z najważniejszych placówek.

One także utrzymują w pewnej mierze równowagę i pokój europejski, nie pozwalając na to, aby floty wojenne mocarstwa przedostały się na morze Czarne i stąd nie znalazła się nowa furtka polityczna, prowadzącą w głąb Azyi. Rosya, której potrzeba ekspanzyi na Zachód, od lat domaga się otwarcia Dardanellów dla przejazdu swej floty wojennej; od lat też sprzeciwiają się temu państwa trójprzymierza. Gdyby obecnie inne państwo miało objąć władzę nad Dardanellami, wywołałoby to taką burzę sprzecznych interesów, że bardzo łatwo rozpaliłaby pożogę wojenną nad całą Europą.

Ten klucz polityki europejskiej ufortyfikowali Turcy bardzo dobrze, tak, że bez ich woli i wiedzy żaden okręt nie może przedostać się na morze Czarne. Tu też obecnie skierował się główny atak Bułgarów, którzy bardzo chętnie objęliby władzę nad tym ważnym punktem.



Prawdziwa zima: Widok ogrodu w Finlandyi.

Kronika tygodniowa.

Koci karnawał rozpoczął się w całej pełni, cóż jednak z tego, gdyż pod złą wróżbą, po mrozach bowiem mamy jeszcze i błoto, które przy obecnym ulepszonym systemie czyszczenia miasta sięga prawie do kostek! Nie winię tu specyalnie Zakładu czyszczenia miasta, który robi, co może, raczej sam magistrat, nie pilnujący należycie stróżów kamienicznych, zajmujących się teraz więcej polityką, niż swymi zawodowymi obowiązkami. O ile pamiętam, dawniej przestrzegano bardzo pilnie, by chodniki przed kamienicami wyglądały więcej po europejsku, dziś niema jakoś nikogo, ktoby się tem chciał zająć.

Politykowanie jest jednak słabością epidemiczną, pojawiającą się według zapewnienia fizykatu miejskiego przez dwanaście miesięcy z rzędu, i to nie tylko pomiędzy panami dozorcami realności.

Dajmy jednak pokój polityce i uroňmy łzę nad nieszczęsną dolą kociego rodu, który w tym wesołym miesiącu narażony będzie *ex re* niepogody na różne nieprzyjemności.

Ale, cóż robić, cierpimy my, niech cierpią i koty, boć nawet przysłowie powiada: kto chce kochać, cierpieć musi...

Ważniejsza rzecz, że przycichły już surmy bojowe i coraz częściej napotykamy wiadomości o postanowionej już demobilizacyi Austryi i Rosyi, natomiast podobno na gwałt zbroi się Francya i Niemcy. Te ostatnie rzekomo z tego powodu, iż cesarz Wilhelm postanowił wypowiedzieć wojnę wszystkim tym, którzy poważyli się krytykować jego odczyt o cielętach zebu z Kadinen.

Wobec zbrojenia Niemców nie może znowu pozostać w tyle sąsiadka, bo nuż znajdzie się jakiś nowy Wolter, który nakaże mobilizacyę korpusów alzacko-lotaryńskich i wkroczenie w granice Francyi.

Przesadna to jednak obawa, nauczeni sztrassburskiem doświadczeniem wojownicy niemieccy nie uwierzą teraz telegraficznemu rozkazowi, choćby nawet pochodził rzeczywiście wprost z Berlina.

Że stadyum pogotowia wojennego wchodzimy więc pod znak zbrojnego pokoju, co w gruncie rzeczy na jedno wychodzi i rujnuje poszczególne kraje.

Bo, że strach ma wielkie oczy, przekonaliśmy się sami na sobie i teraz śmiejemy się z tego. Czytaliśmy kilka razy o tajemniczych aeroplanach, które nocną porą przelatywały nad Lwowem, Jarosławiem i tak dalej i oświetlały miasto elektrycznymi reflektorami, dziś dowiadujemy się z pism lwowskich, że to była gwiazda Wenus, świecąca tak jasno właśnie w tej porze.

Wobec tego i ja zaczynam przypuszczać, że dałem się zwieść złudzeniu, onegdaj bowiem w nocy, wracając do domu widziałem, jak mi się zdawało, aeroplan nieprzyjacielski, który rzucał snopy światła na c. k. Kraków. Było to akurat dwudziestego drugiego lutego, więc na drugi dzień po pełni księżyca!

Prawdopodobnie więc i ja wziąłem księżyc za aeroplan, nie wspominałem jednak o tem w poprzedniej kronice, by nie drażnić niepotrzebnie i tak już zdenerwowanych Krakowian.

Dziś, gdy jest już *post festum*, przyznaję się skromnie do pomyłki.

Ogromnie ucieszyła mnie wzmianka, jaką spotkałem w jednem z pism codziennych, że wykaz urodzin za ostatni tydzień wykazuje stanowczą przewagę dziewcząt nad chłopcami, kilkakrotnie bowiem zabierałem głos w tej sprawie i twierdziłem, że stosunek między obiema płciami stoi w najściślejszym związku z sytuacyą polityczną. Skoro zaś rodzi się mniej chłopców, niż dziewcząt, to znak pewny, że wojny nie będzie.

Co jednak gorsze, to okoliczność, że ta hiperprodukcya płci nadobnej z czasem przyczyni się do zwiększenia szeregów starych panien, a z pomiędzy nich rekrutują się właśnie sufrażystki, następne więc pokolenie nie będzie nam bardzo wdzięczne, chyba, że nie pozwoli się teroryzować niewiastom, żądającym koniecznie zupełnego równouprawnienia z mężczyznami, nawet i pod względem służby wojskowej.

Powiadają jednak znawcy, że tak źle nie będzie, gdyż energia dam wyładowała się już zupełnie, a wybryki ich sprzykrzyły się nawet flegmatycznym synom Albionu.

Dowodem tego kiedysiejsze zajście w Londynie. Sufrażystki chwyciły się nowego środka, bo, zaopatrzywszy się w katarynki, rozpoczęły koncerty w różnych punktach miasta, zbierając przy tem składki na cele agitacyjne.

Publiczność zgotowała im niespodziewaną owacyę, niezbyt może przyjemną, wielką bowiem rolę odegrały tu laski i parasole, tak, że dopiero policya musiała piękne panie wziąć pod swą przemożną opiekę...

Nastąpił więc pożądany przełom, może nareszcie uspokoją się dzielne amazonki, (walczące jednak przeważnie pieszo...).

Prócz wykazu statystycznego urodzin o pokojowem usposobieniu społeczeństwa świadczą i nasze pisma polityczne, poruszające od pewnego czasu więcej kwestyi społecznych ogólnego znaczenia. Widocznie brakuje już materyału wojennego i wyczerpała się fantazya, jak tytułować wiadomości z pola walki, otrzymywane na własnym drucie, lub bez niego, przy pomocy natomiast wziętych na kredyt nożyczek.

I tak, w bardzo poważnym organie krakowskim spotykamy w części literacko-społecznej sążnisty artykuł o niewinnej, a sympatycznej pchełce *(Pulex irritans)*.

Autor, widocznie zdeklarowany zwolennik hodowli tych miłych stworzeń i znakomity znawca ich życia, zapoznaje z niem czytelnika i dochodząc do przekonania, że są one szkodliwemi, ze względu na to, że mogą przenosić choroby ze zwierząt na ludzi, wzywa do walki z tymi pasorzytami. Według jego opinii na ludzkiem ciele (obojga rodzajów, przyp. zecera) prócz pchły ludzkiej lubią przebywać: szczurza, psia, kocia, jeża, ptaków i królicza, należałoby więc pomyśleć o środkach zaradczych, by rodzaj ludzki nie był narażony na niebezpieczeństwo.

Obławy na „brunetki" znane są szczególniej naszym paniom, nie na wiele jednak się przydają, są to bowiem stworzonka bardzo mnożliwe. Trzebaby pomyśleć o innej broni przeciw nim, bardziej ludzkiej, bardziej więc odpowiadającej duchowi czasu.

Wskazanem byłoby na przykład obowiązkowe zaprowadzenie silnych kagańców, które uniemożliwiałyby ugryzienie. Pociągałoby to za sobą zaopatrzenie pchełek w znaczki z numerami, na wzór psich medali, ułatwiłoby zaś kontrolę urzędową nad pchlim rodem. Musianoby także systemizować posadę miejskiego oprawcy, którego obowiązkiem byłoby łowienie osobników, wałęsających się bez marek i kagańców ochronnych.

Nad tym projektem powinien zastanowić się fizykat miejski po poprzedniem porozumieniu się z Towarzystwem Ochrony zwierząt, które sądzę, nie powinno mieć nic przeciw temu.

Drugi organ polityczny, w artykule, p. t. „Przypadkowe odkrycie lekarstwa", zawiadamia świat szeroki o „sulfenolu", odkrycie którego własności nasennych zawdzięczamy nie żadnemu członkowi Akademii Umiejętności, ale najzwyklejszemu psu, wobec czego można powiedzieć, że „medycyna na psy schodzi".

Szukałem w farmakopei, znalazłem tylko środek nasenny *sulfonal*. Widocznie pomyłka.

Nie dlatego jednak o tem wspominam, ale z tego powodu, iż autor, aby przestrzedz publiczność przed szkodliwością narkotyku opisuje przypadek, jakiego sam na sobie doświadczył.

Chciał się, jak powiada, „wyrwać" w nocy z domu, ponieważ jednak połowica założyła swoje *veto*, postanowił uśpić jej czujność przez podanie dawki sulfonalu. Jako troskliwy mąż sam go jednak pierwszy spróbował i widocznie „przesolił", gdyż, zamiast iść „na werdebę", zapadł w sen, który trwał dwa dni z rzędu.

Przestroga dla mężów, mających ochotę się zabawić, dobra rada dla niewiast, mających tego rodzaju małżonków...

Jeśli nasze pisma, rzekomo polityczne, zajmują się teraz tak „ważnemi" sprawami, nikt chyba nie przypuści, by sytuacya mogła być poważną i by coś nam mogło grozić!

A jednak, w naszym przynajmniej Krakowie, zanosi się na wojnę... teatralną.

Po rezygnacyi p. Solskiego z dyrektury krakowskiego teatru, o fotel dyrektorski po nim zgłosili się pp. Dante Baranowski, Gabryelski, Pawlikowski, Tarasiewicz i Trzciński. Podaję umyślnie nazwiska ich w alfabetycznym porządku, by mnie ktoś nie posądził, że jednego lub drugiego forytuję.

Kandydaci wnieśli podania, Rada miejska zaczyna się zastanawiać, komu dać pierwszeństwo (podobno nie chce aktora...), oni tymczasem obrabiają radców i opowiadają, co to zrobią z krakowskiego teatru!

Wstrzymujemy się z wyrażeniem naszego zdania, odkładając je na później, nadmieniamy tylko, że najchętniej widzielibyśmy na tem stanowisku pana Adolfa Nowaczyńskiego, rzekomego wynalazcę soli atyckiej, o co c. k. władze skarbowe w Galicyi mają go zamiar pociągnąć do odpowiedzialności. Ten dyrektor, który sezon rozpocząłby zapewne wystawieniem „Nowych Aten", mógłby być w Krakowie pewnym bardzo entuzyastycznego przyjęcia.

Opinia publiczna jest zdania, że walka rozegra się pomiędzy pp. Pawlikowskim i Trzcińskim.

Który z nich zwycięży, zobaczymy!

A i drugą wojnę mamy, w Krakowie, mianowicie sławetnego cechu szewców z całem społeczeństwem, używającem obuwia.

Ogłosili oni *urbi et orbi*, że podwyższają ceny nowego obuwia i naprawek i proszą publiczność, aby przyjęła to z wyrozumiałością do wiadomości.

Przeczytałem i przyjąłem, a następstwo będzie tego rodzaju, że odtąd wstępuję w szeregi tych, którzy chodzą w dziurawych butach, w lecie zaś będę się trzymał przepisów ks. Kneippa i drałował na bosaka, więc mi szewcy krzywdy nie zrobią...

Także i fryzyerzy chwycili za broń, to jest nożyce i zbuntowali się przeciw nieukwalifikowanym fryzyerkom, które, czesząc panie, odbierają im zarobek. Władza przemysłowa przyznała im racyę i orzekła, że tylko osobniki, posiadające odpowiednie studya, mogą wykonywać „praktykę".

Skoro już mowa o wojnach domowych, to muszę wspomnieć i o przesileniu w Izbie rękodzielniczej krakowskiej, które zakończyło się zwycięstwem partyi „rewolucyjnej", zostającej pod wodzą prezesa Wolnego. Może przecież raz uspokoi się krakowskie mieszczaństwo, rozdwojenie bowiem, jakie wśród niego panuje, wychodzi na złe całemu miastu i wszystkim instytucyom, w których ścierają się oba wrogie obozy.

Lwowska walka o sejmową reformę wyborczą, która doprowadziła do rozbicia rokowań pomiędzy Polakami a Rusinami, nie poruszyła nas zbytnio, nie wspominam też o niej, kto zaś ciekawy, niech przegląda pilnie pisma codzienne, a znajdzie tam dokładne sprawozdanie. Dowie się z nich, że pp. Bobrzyński, Leo, Zaleski i Długosz, oraz Gołuchowski, gotowi są do ustąpienia, na razie przecież na to się nie zanosi.

Ponieważ zaś w galicyjskiej polityce gra obecnie pierwsze skrzypce p. Stapiński, ciekawych odsyłam do jego przybocznego organu, stale się teraz spaźniającego.

Na zakończenie pozwolę sobie nadmienić, że ze wszystkich rad miejskich, o których dotąd słyszałem i czytałem, za najdowcipniejszą uważam paryską.

Jak wiadomo, Francyi grozi wyludnienie, trzeba więc przedsięwziąć odpowiednie kroki, aby temu zapobiedz. Ogłoszono, też, że w domach robotniczych, będących własnością gminy, wysokość czynszu mieszkalnego normowaną będzie w odwrotnym stosunku do liczby dzieci lokatora.

Im kto większą liczbą potomstwa będzie się mógł wykazać, tem taniej będzie mieszkał, kto przekroczy tuzin, prócz uwolnienia od opłaty czynszu, otrzyma ponadto pewną gratyfikacyę z kasy miejskiej.

Głosy publiczne.

C. k. Dyrekcya Kolei Państwowych w Krakowie donosi: Z dniem 1 maja 1913 r. zmienia się dotychczasową nazwę 1) stacyi Dąbrowa, położonej na szlaku Tarnów-Szczucin, na **Dąbrowa koło Tarnowa,** 2) przystanku i ładowni Kąty, położonej na szlaku Bolęcin-Jaworzno, na **Kąty koło Chrzanowa.**

Dla zdrowia ciała i ducha.

Jedną z ruchliwszych instytucyi jest Stowarzyszenie pracowników handlowych i przemysłowych m. Warszawy, które obok zadań zawodowych i kulturalnych, pracuje też gorliwie nad rozwojem fizycznym swych członków. W tym celu powstało przy Stowarzyszeniu Koło gimnastyczne, które rozwija się doskonale, skupiając w swych szeregach nie tylko mężczyzn, ale i kobiety, również oddające się z zamiłowaniem ćwiczeniom gimnastycznym. O sprawności i postępach ćwiczących świadczą wymownie doroczne popisy Koła. W tych dniach właśnie odbył się taki popis, z którego zamieszczamy w dzisiejszym numerze dwa ciekawsze momenty.



Dla zdrowia ciała i ducha: Doroczny popis Koła gimnastycznego przy Stowarzyszeniu pracowników handlowych i przemysłowych m. Warszawy Ćwiczenia pań. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

Nowy dyrektor uniwersytetu lwowskiego.

W tych dniach objął urzędowanie dyrektora uniwersytetu lwowskiego p. Stanisław Postępski, komisarz dyrekcyi skarbu we Lwowie. nowo mianowany na to stanowisko po śmierci ś. p. dra Jordana.

Nowy dyrektor jednej z najwyższych instytucyi naukowych w Polsce, obejmuje urząd z najlepszemi chęciami służenia jej pracą. Praca ta nie będzie łatwą w dzisiejszych warunkach, bo nie zabliźniły się jeszcze rany po ostatnich krwawych wypadkach na uniwersytecie lwowskim, nie wyrównały się różnice, jakie wywołały te ubolewania godne zajścia. Szczere chęci i zapał do pracy nowego dyrektora dają rękojmię, że taktem i bezstronnością zjedna sobie sympatye, jakiemi otaczano jego poprzednika. P. Postępski ukończył gimnazyum w Jaśle. następnie pracował przez lat 12 w dyrekcyi skarbowej.



Nowy dyrektor Uniwersytetu lwowskiego: Stanisław Postępski.



Dla zdrowia ciała i ducha: Doroczny popis Koła gimnastycznego przy Stowarzyszeniu pracowników handlowych i przemysłowych m. Warszawy: Piramida. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

Kongres Albańczyków w Tryeście.

Jedną z najważniejszych kwestyi, które rozwiązać muszą mocarstwa, chcąc uregulować sprawy półwyspu bałkańskiego, jest utworzenie samodzielnego państwa albańskiego. Sprawa ta obchodzi zwłaszcza żywo Austryę, która od szeregu lat patronowała katolikom Albańczykom, tem samem zaś wywierała silny wpływ na politykę na Bałkanie. Zasadniczo odrazu zgodzono się na to, aby powstało samodzielne państwo albańskie. Spór, który powstał, a który groził nawet wybuchem wojny europejskiej, szedł w tym kierunku, że każda z interesowanych



Kongres Albańczyków w Tryeście: Prezydyum Kongresu.



Raut dziecięcy: Młodociani uczestnicy i uczestniczki rautu kostyumowego, urządzonego w Stowarzyszeniu kupców polskich w Warszawie. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).



Amerykańska akademia wojskowa: Parada kadetów.

stron domagała się innych granic dla tego nowego państwa. Różnice zapatrywań były bardzo wielkie. Zwłaszcza mapy granic, przedstawione przez Rosyę i Austryę, najbardziej od siebie odbiegały.

Ostatecznie jednak mocarstwa pogodziły się między sobą i w ogólnych zarysach granice nowego państwa albańskiego zostały już ustalone. Aby podziękować mocarstwom za zajęcie się losem Albanii oraz aby przygotować pierwsze kroki do urzeczywistnienia idei samodzielności, zebrał się przed kilku dniami w Tryeście Kongres notablów albańskich, w obradach którego wzięło udział blisko 100 delegatów. Przybyli przedstawiciele Albańczyków z Albanii, Rumunii, Konstantynopola, Egiptu nawet z Ameryki. Poszczególni referenci domagali się, aby miasta,



Wstrząsający dramat rodzinny: Anna Niemczycka.
(Do artykułu na stronie 10).

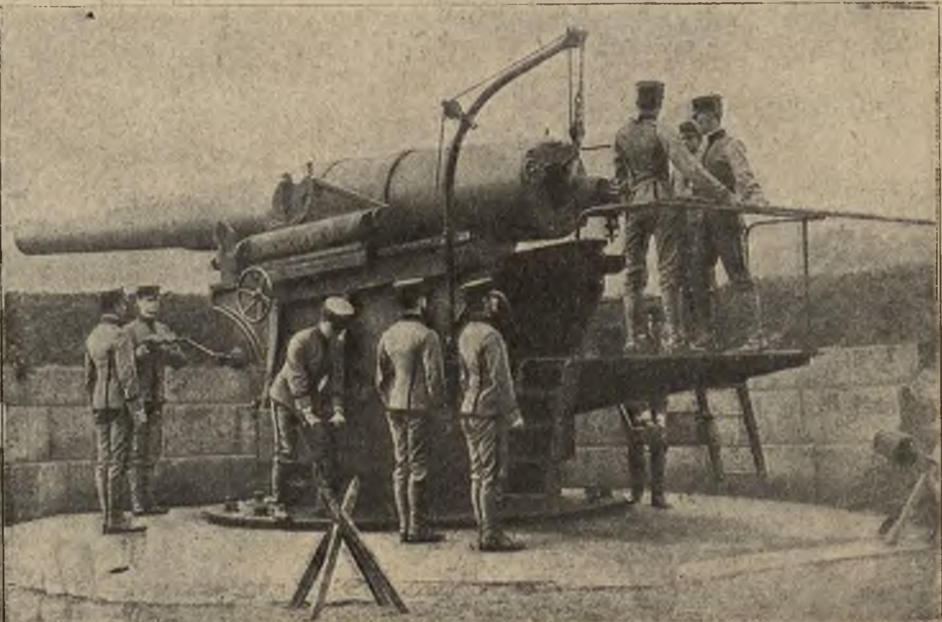
posiadające większość ludności albańskiej, przydzielone zostały do przyszłej Albanii.

Illustracya nasza przedstawia prezydyum Kongresu albańskiego, obradującego w Tryeście.

Raut dziecięcy.

Nie tylko „starzy" umieją urządzać rauty, pokazuje się, że potrafią w ten sposób bawić się także nasze pociechy. Przed kilku dniami w Warszawie w stowarzyszeniu kupców polskich staraniem





Amerykańska akademia wojskowa: Ćwiczenia kadetów w szkole wojskowej Stanów Zjednoczonych.

gospodarzy stowarzyszenia pp. Hirszla i Tomaszewskiego odbył się taki raut dla dzieci, a tem się wyróżniał, iż był kostyumowy i małe osóbki wystąpiły w ubraniach wesołych krakowianek, krakusów, górali i t. p. Program był urozmaicony grą towarzyską i deklamacyą.

Illustracya nasza przedstawia grupę „gości“ rautu w różnych mniej lub więcej fantastycznych strojach.

Amerykańska akademia wojskowa.

Młodzież amerykańska z zapałem garnie się do jedynej wielkiej szkoły wojskowej Stanów Zjednoczonych w West Point. Dostać się tam nie jest jednak rzeczą łatwą. Nietylko bowiem kandydat musi odznaczać się wybitną inteligencyą, ale także musi być bez zarzutu pod względem fizycznym. To też z licznych co roku zgłaszających się kandydatów zaledwie mały procent uzyskuje wstęp do tego przybytku amerykańskiej wiedzy wojskowej. Egzamin wstępny jest bardzo ostry a i nauka, trwająca 4 lata, wymaga wiele pilności i zaparcia się siebie.

W akademii panuje bardzo ostra dyscyplina, każdy kadet musi spełniać bez szemrania wszelkie prace, jakie mu zarząd szkoły wyznaczy. Jednak nastrój i zapał do współzawodnictwa, jaki w szkole panuje, sprawia, że młodzi ludzie czują się dumni, iż mogą pracować, podlegając tak ostremu rygorowi.

Plan nauk jest tak ułożony, że zajęcia umysłowe przeplatane są zajęciami fizycznemi. Całe lato przeznaczone jest na naukę taktyki i ćwiczeń wojennych na wolnem powietrzu. Batalion szkolny opuszcza wtedy mury zakładu na szereg tygodni i rusza w pole, gdzie zakłada się obóz polowy. Na ćwiczenia te każdy kadet wyrusza w pełnem uzbrojeniu, t. zn., że obok pełnego rynsztunku wojennego niesie namiocik składany dla siebie oraz przybory do oszańcowania, jak łopatę lub siekierę. Cały dzień trwają ćwiczenia i dalsze marsze. Wieczorem zakłada się obóz polowy, a po spożyciu wieczerzy oficer dowodzący odbywa z kadetami rodzaj rady wojennej, na której omawia się zdarzenia dnia. Przy sposobności takich ćwiczeń uczą się wychowankowie akademii strzelać z karabinów i armat, oraz budują mosty i przeprawy przez rzeki, wreszcie oszańcowania.

Poza nauką czysto wojskową szkoła daje swym wychowankom także ogólną ogładę, jaka wymagana jest dla amerykańskiego dżentelmena. Na wychowanie to kładzie się bardzo wielki nacisk, tak dalece, że przepisy szkoły bardzo krótko i zasadniczo postanawiają, iż kto nie umie być dżentelmenem, winien zaraz szkołę opuścić.

Po trzech latach otrzymuje każdy kadet po złożeniu przysięgi oficerskiej żołd w kwocie 609 dol.

Akademia wojskowa w West Point należy do najbardziej demokratycznych instytucyi. Bezwzględna równość wszystkich wychowanków, niezależnie od tego, z jakich rodzin pochodzą, stanowi główną podstawę jej systemu wychowawczego.

Illustracye nasze przedstawiają szereg momentów z życia i prac wychowanków akademii.

Niezwykłe trofeum myśliwskie.

Minęły już te dawne czasy, kiedy bory galicyjskie pełne były różnorodnej zwierzyny i kiedy zabicie w nich niedźwiedzia lub nawet żubra nie należało do rzadkości. Dzisiaj połowa tych kniei padła pod ciosami siekier, w pozostałej zaś reszcie zaledwie wypadkiem znaleźć można czasem jakiegoś niezwykłego zwierza. Jeszcze niedźwiedzie łatwiej spotykają się w Tatrach, są to jednak przeważnie goście ze stron węgierskich. Zato o innych gatunkach grubej zwierzyny już tylko opowiadania myśliwskie pamięć zachowały.

Tem ciekawszym jest fakt, który zdarzył się przed kilku dniami w lasach żywieckich. W Zawoi p. Michał Bartonka, leśniczy dóbr arcyks. Karola Stefana, zastrzelił rysia. Zwierz ten, którego fotografię zamieszczamy w dzisiejszym numerze, istotnie jest w Galicyi bardzo rzadkim okazem.



Amerykańska akademia wojskowa: Ćwiczenia z karabinem maszynowym.



Wstrząsający dramat rodzinny: Wł. Niemczycki.
(Do artykułu na stronie 10).



Niezwykłe trofeum myśliwskie: Ryś upolowany w lasach żywieckich.





Rozwiązanie zagadek z Nr. 8.

Kryptogram: Ci cerowali stare skarpetki niciane a policyani go do ula taskali.

Przysłowiówka: Zdrowa baba chorego chłopa przeskoczy

Łamigłówka literacka: Emma Jeleńska, Panienka.

Logogryf:

J a r o c h o w s k i
B i e l e f e l d
K a r n i o l
B y r o n
R y ś
k
L i n
K o b u s
K a r s k i e
Ż m i j e w s k a
J a b ł o n o w s k i

Łamigłówka:

Wir
ohm
maj
len
ara
cel
gzy
yak
pan
oko
kok
osa
jan

Przysłowiówka: Psie głosy nie idą w niebiosy.

Szarada: Telegraf.

Zadanie do przestawienia: Swój afekt kto dobywa, cudzy wzajem pobudza.

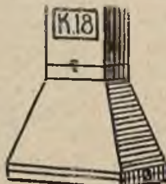
Rebus: Przy cierpliwości i staraniu wiele człowiek dokonać może.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp M. Planecka Kraków. F. Gebhardt Kraków, J. Łopatkiewicz Sambor, Cz. Lipiński Z kopane, M. Lisowska Sambor, J. Strojek Podgórze, I. Brzostowski Krosno, M. Wojkowski Tarnopol, D. Sedyńska Zakopane J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Sambor, S Kowalówka Kraków, K Kaim Warszawa, W. Ostrowski Warszawa, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Rzeszów, Cz. Kozłowski Warszawa, M. Borkowska Lwów, K. Ciesielski Rzeszów, H. Łapińska Kraków, J. Waligórski Lwów, R Sadowski Kraków, J. Gross Podgórze, A. Biliński Tarnopol, M. Więckowska Łódź, J. Krawecki Bochnia, W. Świrski Sanok, A. Bandrowski Częstochowa, L. Kwaśniewski Piotrków, J. Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Kraków, S. Wiewiórowski Przemyśl, J. Jaworski Kijów, S. Bukowski Równo, H. Maciejowska Winnica, J. Ohrenstein Stanisławów, D. Schwadron Stanisławów, J Wilkosz Rzeszów, S. Sygnarska Tarnów, F. Frankowicz Lwów, J. Martynowicz Lwów, H. Piątek Podwołoczyska, S. Krzyżanowski Podgórze. J. Broda Tarnów, M. Antosz Sanok, K. Gliński Kołomyja, S. Balicki Lwów, C. Wang Rzeszów, J. Lipowski Lwów, M. Wańkowicz Mińsk, J. Pick Warszawa, H. Obst Jasło, M. Wędrychowska Sanok. S. Medyński Zakopane, T. Rzepecki Poznań, W. Urban Lwów, S. Kamocki Jasło, H Ungar Lwów, M. Kobyłecka Stanisławów, M Kozicka Lwów, J. Bałuk Kraków, J. Skalski Sanok, S. Lemiszewski Żółkiew, K. Armatys Uhnów, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Tarnów, M. Bróż Lwów, S. Bernstein Warszawa, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, W. Sołtysik Lwów, K. Zegartowska Bogucice, J. Wolny Warszawa, S. Mazurkiewicz Lwów, J. Popiel Kamieniec, J Jahoda Cieszyn, W. Błoński Kraków, J. Ciszewski Jasło, S. Kamiński Petersburg, K. Radomski Warszawa, S. Rogalski Tarnów, H Radziński Jasło, L. Lindenbaum Czerniowce, F Horak Oświęcim. M. Dobagalska Kraków, W Raczyńska Sanok, J. Nowacki Śni tyn J. Darowski Petersburg, M. Sperling Wiedeń. T. Mazaraki Radom, J. Trepka Sandomierz, W. Krzywicki Jasło K. Rechenberg Cieszyn, D. Gross Sanok, L. Sobański Warszawa, M. Münz Stryj, J. Kossowski Lwów, F. Blätter eind Kolomyja, W. Potocki Kraków, S. Kalinowska Podlęże, H. Figiel Sambor, K. Leszczyński Jasło, T. Nikiel Chrzanów, R. Linderski Siemiechów, D Hubaczek Stanisławów, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Szczawnica.

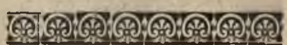
Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **M. Borkowska, Lwów.** Upraszamy o nadesłanie 25 hal. na koszta polecenej przesyłki.













Ze świata kobiecego.

Nowy kurs w modzie.

Kiedy przed dwoma laty paryscy modyści wprowadzali *joupe coulotte,* wierzyli, że ta nowa idea przyjmie się w modzie i pozostanie jako trwałe zreformowanie kobiecego stroju. Odrzucono ją jednak wówczas i zdawało się, że już więcej nie wróci. Panie oświadczyły wtedy, że moda tego rodzaju za bardzo zwraca uwagę i nie odpowiada elegancyi i dobremu smakowi. Obecnie jednak w pojęciach nastał znowu nowy zwrot i moda spodnic w formie szerokich szarawarów powraca znowu. Zreformowano ją wprawdzie bardzo, ale w każdym razie to, co obecnie Paryż nam przynosi, wygląda tak, jakby chciano stworzyć pewną przejściową formę do *joupe coulotte,* tej jaką przed dwoma laty noszono.



Suknia wizytowa z rożowej *charmeuse,* przybrana czarną aksamitką.

I znowu, tak jak w innych dziedzinach mody, wojna bałkańska oddziałała na tę zmianę zapatrywań. Już w karnawale pod wpływem zwrotu do strojów oryentalnych, na balach kostyumowych przeważały suknie, silnie przypominające stroje Turczynek. Oko jakoś przyzwyczaiło się do szarawarów, a tem samem firmy francuskie, które przed dwoma laty strój ten tak propagowały, wystąpiły znowu z pomysłami opartymi na tych samych zasadach.

Nowy fason spodnic powstał przez umiejętne upięcie i rozdzielenie różnych *panier* i modnych plisowań, które wprawdzie nie usuwają kolistości spodnicy, podpinają i szczepiają ją jednak tak, iż przypomina bardzo silnie szarawy tureckie. I zauważyć trzeba, że tym razem piękności paryskie nie odrzuciły tego oryginalnego pomysłu. Stało się to bądź, jak wspomniałam, pod wpływem wojny bałkańskiej, bądź też dzięki temu, że jednostajna, wąska moda ostatnich sezonów wywołała już pewien przesyt i znużenie. Tymczasem nowa moda przynosi i bogactwo materyału i obfitość wielką odmian, tak że nasze panie na monotonię w stroju skarżyć się już nie mogą.

Wiele do utorowania drogi temu nowemu fasonowi przyczyniła się także zasada, propagowana również w ostatnim karnawale, aby suknia nie zasłaniała nóżek, co uskuteczniały rozcięcia spodnic z boku od dołu, a nawet fasony paryskie sukien balowych były z przodu tak wysoko rozcinane, że odsłaniały pończoszki prawie po kolano.

Nowa forma spodnic występuje zwłaszcza przy sukniach wiosennych wieczorowych i wizytowych, gdzie tren osłania cokolwiek zbyt silne opięcie nóg, a przez to łagodzi wrażenie szarawarów, jakie daje spodnica. Widziałam n. p. suknię wizytową z miękkiego jedwabiu kremowego przybraną lisami. Krótki żakiecik pół wolny obramowany był futrem. Spodnica od dołu była podpięta, podobnie jak przy szarawarach i otaczała ściśle nogi w kostce. Maskował zaś całość długi tren.

Również silnie występowało podobieństwo z szarawarami przy innej sukni wizytowej dla panien. Zrobiona była z białego atłasu i przybrana czarną szarfą atłasową. Stanik z długimi rękawkami przybrany był szerokim kołnierzem z czarnego jedwabnego muślinu. Spodnica z przodu silnie rozcięta, ukazywała czarny atłasowy spód, zaś wierzch biały ujęty był u dołu w dwie grupy fałdów, które w formie szarawarów wąsko opasywały nogi. Ponieważ spodnicy tej z powodu jej wąskiego u dołu fasonu nie możnaby włożyć, była z tyłu zapinana na zatrzaski od paska aż do samego dołu.

Wspaniale wyglądała suknia wieczorowa, zrobiona z materyi *charmeuse* w kolorze różowym. Staniczek w formie kimona o szerokich rękawach, posiadał dosyć duże wycięcie. Spodnica wpuszczona w wysoki pasek, opadała w dół, podpięta w kostce wąsko na sposób szarawarowy, na niej spadała wspaniała tiunika koronkowa pokryta czarną gazą, która na dole poniżej kolan tworzyła rodzaj *panier* spiętego z tyłu fantazyjną kokardą gazową. Z pod tego *panier* spływał tren z brokatu różowego, przerabianego srebrnym deseniem. Spotykałam także suknie, gdzie część spodnicy, zebrana w fałdy, przytrzymana była zapomocą gumki i przymocowana do nogi, tak iż wtedy robiła zupełnie wrażenie *joupe coulotte.*



Kostyum wiosenny, spodniczka z jedwabiu w duże kwiaty.

Trzeba przyznać, że na fantazyi paryskim twórcom mody nie zbywa. Notuję ten nowy przejaw mody z obowiązku sprawozdawczego, choć przyznać muszę, że jest on dosyć wdzięczny. Czy jednak taka trwała moda się utrzyma, przewidzieć dzisiaj nie można. Nasze panie, choć pod względem mody są bardzo wybredne, są zawsze na tyle konserwatywne w swych pojęciach, że nie łatwo dadzą się zdobyć i pozyskać przez takie nowe idee.

W.



Suknia wizytowa, spodniczka podpięta guziczkami.

MICHAŁ MORPHY.

TAJEMNICA POGROMCZYNI.

Powieść z francuskiego.

5

Anieli spadł wielki ciężar z piersi, gdy usłyszała to potwierdzenie. Lękała się, czy aby nie wciągnięto ją w jaką pułapkę.

— Otóż — rzekła — wolno mi oddalić od siebie wszystkie osoby, których towarzystwa nie znoszę.

— Jakto i krewnych?

— Jestem pełnoletnią.

— No tak, ale...

— Zdaje mi się, że innej drogi nie mam.

Carboniera przysłuchiwał się rozmowie.

— Pani nie ma potrzeby zdawać sprawy nikomu ze swoich czynności — wtrącił. — Sprawy rachunków z opieki podlegają sądom cywilnym. Fakt zrzeczenia się jej jest ustalony.

Komisarz cofnął się.

— Ale pan musisz zdać sprawę z dopełnionego gwałtu.

— Bynajmniej, gdyż powtarzam panu, że działałem na wyraźny rozkaz właścicielki tej nieruchomości, osoby pełnoletniej.

— Czy to prawda? — zapytał komisarz, zwracając się do Anieli.

— Tak, panie.

— I po cóż takie gwałty?

— Tu nie ma gwałtów. Moi krewni zadawali gwałt moim najświętszym uczuciom; nie chcieli wyjść dobrowolnie, ten pan przeto był tak dobry i wyprowadził ich z domu.

. . . .

Carboniera zacierał ręce. Młoda dziewczyna powtarzała słowo za słowem jego lekcyę. Była niejako przeistoczona. Jej nerwy, naprężone aż do pęknięcia, dodawały jej siły, która zdumiewała ją samą. Ale obraz Monte-Leona, który utrwalił się w jej umyśle, byłby ją natchnął do większych jeszcze czynów odwagi. Miłość w młodych wyobraźniach szybko się krzewi.

Komisarz nalegał:

— Czy pani zechcesz przyjąć krewnych swoich na noc? Nie mogą przecie pozostać na ulicy.

Carboniera wyjął wspaniałomyślnie sztukę pięciofrankową z kieszeni.

— Pani właścicielka prosiła mnie, ażeby im doręczyć tę oto kwotę na nocleg w hotelu, zanim ich willa zostanie przygotowaną na jutro.

Urzędnik nie mógł się powstrzymać.

— Z jakiej racyi pan przemawiasz? — zapytał despotycznie.

— Jestem pierwszym świadkiem pani właścicielki.

— To fałsz. Pan Sigrist nigdy nie przystanie na to.

— Co pan mówi o panu Sigriście? Pani nie wyjdzie za niego. Nigdy nie wyjdzie za tego obrzydliwego puhacza.

— A jednak zapowiedzi wychodzą.

— To nic nie znaczy.

— A czy można wiedzieć nazwisko przyszłego męża pani?

— Pan Monte-Leon.

Komisarz zrobił ruch osłupienia. Co do Anieli, ta nie zaprzeczyła bynajmniej Carbonierze. Z trudnością panowała nad swojem wzruszeniem i pomięszaniem.

Policyanci odeszli w końcu dla wertowania kodeksu. Zostawszy sami, Aniela i Carboniera spojrzeli po sobie. Poczem, student wybuchnął śmiechem.

— Co to miało znaczyć, coś pan powiedział? — spytała młoda dziewczyna.

— Hm! Pomówimy jeszcze o tem. Pozwól mi pani odprowadzić tych panów i przyjrzeć się minom na twarzach przezacnej pani rodziny.

Aniela skinęła głową na znak przyzwolenia.

Może nie żałowała w połowie, a może i wcale, niedyskrecyi Carboniery.

. . . .

Nie ma słów dla opisania konsternacyi pana Verniera i jego świty, gdy się dowiedzieli o rezultacie konferencyi... prawniczej.

— Jakto? Więc faktycznie i nieodwołalnie znaleźli się za drzwiami?

Taki marny człeczyna potrafił się oprzeć tej potężniej rodzinie i zadrwić sobie z niej w ten sposób? I nawet nie zaaresztowano tego bandyty, tego intryganta!

Tłum wyśmiewał się z tego blamażu.

— Łapaj, papo Vernier! — zawołała młoda rybaczka o rozbawionej twarzy, znajdująca się w grupie ciekawych i dmuchnęła po wyciągniętej dłoni.

Carboniera stanął we drzwiach frontowych i z uciechą przypatrywał się młodej dziewczynie. Ta ciągnęła dalej:

— Kochany pan traci dwakroć sto tysięcy franków i szumny domek, ani słowa!

— A nie zmilkniesz mi, latawico! — zawołał fabrykant.

— Za nic na świecie! Mój ojciec umarł u pana przez wypadek, a pan nie dałeś nawet dwóch liardów na jego pochowek. Dobrze panu tak! Hu! hu! Zmykaj, stary sępie. Idź spać na Kolumnie.

Carbonierze przyszła myśl do głowy.

— Hej! Słuchaj no, ślicznotko! Nie chciałabyś ty przyjąć służby u panny Anieli? Dobra pensya.

— Oj, oj, czemu nie?

— Jeżeli tak, to możesz wstąpić zaraz. Warunek główny, ażeby nie wpuszczać tej hoło..., bo nie mam wcale chęci zajmować się całe życie przeprowadzką.

— Niech się pan nie boi!

— A no więc zgoda!

I rybaczka weszła do domu, robiąc „zyg-zyg“ do rodziny Vernier i szkaradnego Sigrista. Ten pienił się.

— Zobaczymy — wołał odchodząc, śród wybuchów śmiechu — zobaczymy!

. . . .

W kilka minut potem, Carboniera wychodził z domu, pozostawiając Anielę pod strażą rybaczki.

Idąc, natknął się znowu na rodzinę Vernierów. Zbliżył się do fabrykanta.

— Radziłeś mi pan, ażebym się zabrał do przeprowadzek — zawołał. — Posłuchałem pana. I cóż pan powiesz na moją pierwszą robotę?

I odwrócił się tyłem do wyrzuconych.

Poszedł spać do hotelu i śnił o ładnej rybaczce.

Odważny krok młodzieńca powiódł się. Ale co będzie dalej? Czy to objęcie w posiadanie nieco zbyt szybkie będzie definitywnem?

ROZDZIAŁ V.

Sąd i wyrok.

Nieszczęście zawsze chodzi w parze, powiada mądrość narodów. Pan Vernier miał doznać na sobie prawdy tego orzeczenia.

Nie upłynęło dwóch dni, gdy mu robotnicy zastrejkowali. Pracy było huk. Spieszono się z wykończeniem tkanin na sezon letni. Nie było czasu do stracenia. Pan Vernier nie chciał ustąpić, uparł się przy swej odmowie.

Robotnicy zebrali się na Saint-Pierre-les-Calais, a fabryka bolońska musiała zawiesić roboty. W trakcie tego nadszedł termin procesu Monte-Leona. Strejk nadawał mu cechę wyjątkowej wagi. Sala trybunału wypełniona była widzami, ławy obrońców były w komplecie.

Surowe rozkazy wydane zostały nie wpuszczenia robotników do sali sądu, ale wobec tłoku woźni nic poradzić nie mogli. Rozmawiano z ożywieniem. Sigrist był ośmieszany, a wszyscy wdzięczni byli Monte-Leonowi, że mu zaaplikował tęgi policzek i że mu podbił oba oczy. Zwłaszcza robotnicy byli zachwyceni klęską wspólnika pana Vernier.

Sigrist przybył powozem; jego ukazanie się powitano okrzykiem: „Wiwat strejk!“

Wszedł do sali i zajął miejsce obok swego adwokata. Powitał go szmer wcale niepochlebny. W tej samej chwili, drzwiczki, prowadzące do ławy podsądnych, otworzono i wszedł Monte-Leon, poprzedzając dwóch żandarmów. Pewnym wzrokiem ogarniał publiczność i nagle twarz mu się rozjaśniła: Carboniera był na sali:

Woźny otworzył drzwi w głębi. I wygłosił sakramentalnie:

— Sąd idzie, proszę wstać!

Sędziowie weszli, powłócząc nogami, i metodycznie, zasiedli, poczem obnażyli głowy. Prezes, mający wygląd umarłego, stanowił rażący kontrast z dwoma kolegami, którzy byli okrągli i pękaci. Po zadaniu szablonowych pytań, prezes wyłożył fakta:

— Zostałeś pan przyjęty przez pana Vernier, który się powodował wyłącznie litością. Zmiłował się nad pańską nędzą i przyjął pana do siebie za rysownika. Odwdzięczyłeś się pan przez uderzenie w twarz jego wspólnika i przez zorganizowanie strejku jego robotników.

Dał się słyszeć protest obecnych.

Prezes zatrzepotał swą czarną szatą, jak gdyby miał zamiar faktycznie jej się pozbyć.

— Jeżeli się jeszcze coś podobnego powtórzy — rzekł — to ostrzegam... publiczność (wymówił ten wyraz z przymusem), że każe salę opróżnić.

Zastępca prokuratora, zajmujący fotel obrońcy rządowego, skorzystał z okazji dla zareklamowania swej maryonetkowej facyaty. Wstał i oświadczył tonem gniewnym:

— Prześwietny trybunał zechce zwrócić uwagę, że strejkujący robotnicy wypełniają salę i z góry trzymają stronę oskarżonego.

Monte-Leon nic nie słuchał i prowadził rozmowę telegraficzną z Carbonierą. Prezes zapytał:

— Przyznajesz pan, żeś pan uderzył oskarżyciela?

— Przyznaję, ale...

— To dobrze. Powiedz-że pan, jak to było, panie Sigrist...

Ten przedstawił się jako człowiek niegodnie napadnięty, przy czem nie omieszkał upstrzyć opowieści swojej wianuszkiem drobnych insynuacyi. Jego zdaniem, robotnicy zostali popchnięci do strejku przez Monte-Leona. Ten chciał kłam temu zadać.

— Cicho pan bądź! — zawołał prezes i dodał:

— Wprowadzić świadka.

Wszedł pan Vernier. Całe miasto wiedziało o jego przygodzie, to też ogólna wesołość powitała go przed kratką.

Jął prawić, że był dobroczyńcą ludzkości, najczulszym z filantropów...

— Dla siebie — ozwał się głos sarkastyczny.

— Kto to powiedział? — zapytał prezes.

— Ja — odparł Carboniera.

— Któż to?

— Ten, co przeprowadzał tego pana — odparł niepoprawny Carboniera.

— Wyjdź pan ze sali.

— Z przyjemnością.

I pośród ogólnej wesołości jowialny przeprowadzacz salę opuścił. Monte-Leon nie zrozumiał tego wypadku. Nie wiedział o niczem co zaszło.

Adwokat Sigrista zabrał głos. Gadał przez kwadrans czasu, niby stwierdzając nagromadzone fakty. Wykazał dowodnie, opierając się na tekstach, że tylko przez źle zrozumiany efekt optyczny, przez miraż, który w błąd wprowadza, ludzie myślą, że

jest dzień: faktem jest, że jest noc zupełna. Białe było czarnem i odwrotnie. Sprawiedliwość nie jest niczem innem.

Sąd, oświecony temi teoryami jurysprudencyi bieżącej, wydał swoją opinię. Prezes odczytał wyrok:

„Zważywszy, że zarówno z rozpraw jak i z przyznania się oskarżonego wynika, że Monte-Leon dopuścił się obelgi czynnej na osobie Sigrista i to bez prowokacyi. Zważywszy i t. d. Sąd skazuje go na miesiąc więzienia, sto franków kary i na zapłacenie wszelkich kosztów i wydatków związanych z procesem“.

Monte-Leon nie mógł wyjść z podziwu.

— Jakto? Już koniec — mówił do siebie — ależ ja nie mówiłem ani jednego słowa.

Wyszedł wśród żandarmów, bynajmniej nie zbudowany sprawiedliwością sądu. Miesiąc czasu spędzić w więzieniu prowincyonalnem! Co za nudy śmiertelne. I co pocznie po wyjściu? Ach, gdyby wiedział jak dobrze składały się dlań okoliczności, ileż pociechy zaznałby w swojej przygodzie!

A po opuszczeniu gmachu sądu, Sigrist poszedł się przejść po mało uczęszczanym brzegu Liany. Złe myśli kotłowały mu się widocznie po mózgownicy, wyraz bowiem twarzy miał wstrętny.

— Nie — mówił, zaciskając zęby — on jej nie zaślubi!

— Tak, kochanku, zaślubi, daję ci na to słowo.

I Carboniera, idący za nim krok w krok, chwycił go silnie za ramię.

Sigrist zzieleniał, uczuwszy się w mocy tego Herkulesa i cudaka. Ratunku zaś znikąd spodziewać się nie było można. Wybrzeże było puste, a Liana płynęła groźna. Jest to mała rzeka, mająca niespełna milę, niemniej jednak można się w niej utopić z kretesem.

— Umiesz pływać drapieżniku jeden? — zagadnął Carboniera.

Sigrist przestraszony spuścił głowę.

— Nie umiesz pływać? To szkoda, chciałem ci dać lekcyę pływania.

Poczem ciągnął wskazując trzcinową laskę, którą trzymał w ręku:

— Tem oto wyrównamy swoje rachunki.

— Strzeż się pan, bo i na pana przyjdzie kolej! — pogroził Sigrist.

— Tak, wiem, że ciepło ci dotąd w gębę od policzka i żeś z taką gębą latał na policyę, ale tu nie ma świadków, a nie przypuszczam ażbyś chciał bezwstydnie pokazać sprawiedliwości te miejsca, które ci wygłaszczę.

I pochwyciwszy go nagle w pół, ukrył mu głowę pomiędzy kolana, jak się to robi ze zwyczajnym urwiszem. I teraz jął mu aplikować takie razy laską, że wzbudziły zachwyt u znawców. Trzcina zdawała się w jego ręku nabierać przedziwnego, bajecznego życia. Przez ćwierć sekundy wznosiła się w górę, jakby dla nabrania siły, poczem nerwowo przylepiała się do miękkich części Sigrista, masakrując je mnóstwem uderzeń różnych i szybkich, już to lżejszych, już bardziej dotkliwych, a często okrutnych i dojmujących.

Carboniera dawał sobie folgę z uciechą wyrafinowanego artysty. Zapomniał, że się mści, a myślał jedynie o zadawaniu razów według wszelkich przepisów sztuki. Było coś z dyrektora orkiestry w tym sędzi z powołania.

Ale najpiękniejsze rzeczy spotyka los marny, jest to prawo powszechne, to też i trzcinka Carboniery pękła w chwili, gdy on wykonywał *finale* z brawurą i werwą nieporównaną.

Zemścił się przez odrzucenie nieszczęśliwego Sigrista o dziesięć kroków, a to za wpływem wspaniałego stołeczka w miejsce drażliwe — bukiet!

Poczem pozbierał kawałki swojej laski i rzekł uprzejmym głosem do ofiary:

— Gdyby otrzepane miejsce swędziało cię jeszcze, to powiedz, do usług twoich, trutniu!

ROZDZIAŁ VI.

Rózia.

Aniela nie wychodziła z domu od czasu wyrzucenia krewnych. Wypadek ten był tak nagły, tak niepowszedni i tak nieprzewidziany, że musiała przyjąć sytuacyę taką, jaka była. Poczem, rozmyślając, doszła do przekonania, że wszystko stało się jak najlepiej. Nie gniewała się wcale, dowiedziawszy się, że jest właścicielką pięknego domu i co większa, posiadaczką swoich akcyi. Jedna rzecz zastanawiała ją tylko. Gdzie była deponowana ta wspaniała suma dwakroć sto tysięcy franków? Nie znała nawet notaryusza swojej rodziny. Niecierpliwie wyglądała wizyty Leona Carboniery, który się nie zjawiał. Zaprzyjaźniła się odrazu z Rózią, ładną rybaczką, którą student upełnomocnił do opieki nad młodą panią.

Ciąg dalszy nastąpi.

Zagadki do nagrody.

Bilety wizytowe.
Ułożył J. Hibl. Nowy Sącz.

Z liter umieszczonych na biletach, ułożyć zawód, ewentualnie godność, poszczególnych osób.

O. F. SPORER

R. A. PISZ

R. E TRZASEK

Łamigłówka literacka.
Ułożył J. Hibl, Nowy Sącz.

Znaleźć utwory niżej wymienionych pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, podadzą imię i nazwisko polskiego poety.

Sofokles?
Estewa?
Sofokles?
Krzyżanowski?
Coulevain?
Schiller?
Arystofanes?
Sofokles?
Coulevain?
Eminowicz?
Sofokles?

Szarada.
Ułożyła J. Gottfriedówna, Kołomyja.

Pierwsza-druga, produkt mineralny,
Czwarta druga, także olej skalny,
Trzecia czwarta, to imię mej ciotki,
Wszak znacie ją państwo?.. tej starej dewotki,
Całość, jest to ciało dobrze wszystkim znane,
I dla swej skuteczności często używane.

Trójkąt magiczny.
Ułożyła O. Drozdowska, Babin.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzą nazwisko jednej ze stolic europejskich.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Autorka książek dla młodzieży. 3 Naród na północy Francyi. 4. Kobiety, dążące do równouprawnienia z mężczyznami. 5 Miasto w Galicyi. 6. Słuchacze uniwersytetu 7. Kwiaty wodne. 8. Sługa szkolny. 9 Imię żeńskie. 10. Opera. 11. Roślina. 12. Poeta polski 13. Zaimek. 14. Spółgłoska.

Przysłowiówka.
Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Dopełnić podane wyrazy spółgłoskami, aby powstały dwa znane polskie przysłowia:

1) a a a a a a a a
2) a a a u i a a.

Logogryf.
Ułożyła O. Drozdowska, Babin.

Z podanych liter ułożyć szereg wyrazów o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, pionowy i poziomy, utworzą nazwę miejscowości, leżącej na terenie toczącej się obecnie wojny

a
a a a
a a a a a
a a a a c c d
d e i i k l l n n
n o o p r r r
ś t t t w
z z z
z

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Imię cyganki. 3. Rodzaj zabezpieczenia. 4 Drapieżne zwierzę. 5. Szukany wyraz. 6. Istota organiczna. 7. Bożek. 8. Imię żeńskie. 9. Samogłoska.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Z podanych liter utworzyć znane polskie przysłowie:
Pić! Ławnik Tepo i baszowie Muezi i Teddo.

Przysłowiówka.
Ułożył J. Hibl, Nowy Sącz.

Z każdego przysłowia wyjąć po jednej zgłosce i ułożyć z nich nowe przysłowie:

1) Próżny żal po niewczasie.
2) Jedz durniu, bo to z makiem.
3) Nosi płaszcz na dwu ramionach.
4) Kto na życie nie pracuje, tego bieda pomorduje.
5) Bez ochoty niespore roboty.
6) Jedna parszywa owca całe stado zarazi.
7) Głupi, gdy milczy, za mądrego uchodzi.
8) Każdy dudek ma swój czubek.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *A. Gruszeckiego:* **Zaloty biurokraty.**

Zygmunt Ślimakowski Kraków, Rynek Linia A-B róg ul. św. Jana

Przybrania do sukien, **bluzy, halki, pończochy,** żaboty, kołnierze, pióra, i boa strusie, koronki, wstążki, rękawiczki i t. p.

Magazyn Nowości dla Pań!

Panie Gospodynie! Baczność!

Nie kupujcie żadnego **masła ani nic** podobnego dopóki **nie** skosztujecie sławnej ogólnie wypróbowanej, światowej marki

BLAIMSCHEINA

„UNIKUM“

MARGARYNY

„UNIKUM“ nie jest żadnym tłuszczem roślinnym.

„UNIKUM“ jest z najczystszego i najlepszego tłuszczu zwierzęcego z domieszką śmietany pasteuryzowanej i dlatego posiada **największą wartość pożywną** i jest rzeczywiście zdrowy.

„UNIKUM“ nie jest produktem sztucznym, tylko **czystym naturalnym.**

„UNIKUM“ jest o **50%** **tańszy** i o wiele wydatniejszy od masła.

TYLKO UNIKUM BLAIMSCHEINA jest tym **jedynym i prawdziwym** środkiem mogącym służyć zamiast masła, który **wszystkie dotąd** inne zachwalane środki **przewyższa.**

Wyrób

„UNIKUM“ BLAIMSCHEINA jest przez stałą państwową kontrolę chroniony, co na każdym pakiecie jest uwidocznione.

Szanowne Gospodynie!

Nie dajcie się przez inne namowy **w błąd wprowadzić** i używajcie zamiast masła przy **smażeniu** **pieczeniu** **gotowaniu** jako **dodatek do chleba** wyłącznie

BLAIMSCHEINA „UNIKUM“ MARGARYNY

Wszędzie do nabycia! **Próbki darmo i opłatnie!**

VEREINIGTE MARGARINE- UND BUTTERFABRIKEN, WIEN XIV.



FRANCKA

PRZYMIESZKA DO KAWY

PRAWDZIWA TYLKO Z MARKĄ FABRYCZNĄ MŁYNEK DO KAWY

JEST NAJLEPSZĄ I NAJSMACZNIEJSZĄ

:WYRÓB KRAJOWY:

FABRYKA W SKAWINIE

::KOŁO KRAKOWA::

Linia Hamburg-Ameryka

Regularne przewożenie podróżujących znanymi pierwszorzędnymi parowcami

Hamburg – Nowy-York
Hamburg – Filadelfia
Hamburg – Kanada

Hamburg – Brazylia	**Hamburg – Ameryka środkowa**
Hamburg – La Plata	**Hamburg – Wenezuela**
Hamburg – Arabia	**Hamburg – Kolumbia**
Hamburg – Persya	**Hamburg – Kuba**
Hamburg – Afryka	**Hamburg – Meksyko**
Hamburg – Indye Zach.	

Antwerpia – Kanada.

Linia Hamburg—Ameryka prowadzi na prawie wszystkich swoich nowojorskich parowcach

cztery klasy przewozowe

I. kajuta, II. kajuta, III. klasa i międzypokład. Parowce linii Hamburg—Ameryka dają przy znakomitem utrzymaniu, prędki i wygodny przewóz dla podróżujęcych w kajutach i wychodźców.

O wyjaśnienia i co do przewozu należy się zwrócić do generalnej reprezent. linii Hamburg—Ameryka, **Wien I, Kärntnerstrasse 38,** albo do jej agenta **we Lwowie, ul. Gródecka 95, w Czerniowcach, Herrengasse 16.**

Księgarnia S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie.

poleca dzieła pedagogiczne **Reussnera** do bardzo prędkiej i najłatwiejszej nauki **Obcych Języków w szkole i w domu, bezpłatnie,** bo **bez nauczyciela,** z objaśnieniem wymowy i kluczem p. t.:

SAMOUCZEK

Polsko-Niemiecki kurs I-szy K 2·40, kurs II-gi K 4·80
Polsko-Francuski kurs I-szy K 3·60, kurs II-gi K 9·60
Polsko-Angielski kurs I-szy K 2·30, kurs II-gi K 3·60
Polsko-Rosyjski kurs I-szy K 4·20, kurs II-gi K 5·40.

Bezpłatne zeszyty wysyła księgarnia po nadesł. 15 h na porto.

---

4 tygodnie na próbę



i oglądnięcie wysyłam moje wypróbowane rowery marki „Bohema“ i gwarantuje 6 lat za dobre wykonanie i materyał. Części składowe tanio. Dla osób godnych zaufania umiarkowane spłaty. **Fr. Dušek** fabryka rowerów **Opočno** Nr. 2065 kolej państwowa (Czechy). Illustrowane katalogi darmo!



500 Koron

zapłacę, jeżeli nagniotki Pańskie. brodawki i skórę zrogowaciałą nie usunie w 3-ech dniach mój niszczyciel korzeni **„Riasalbe“.** Cena 1 słoiczka wraz z listem gwaranc. 1 korona Kemeny'ego **„Ideal“** woda do ust usuwa bol zębów, nieprzyjemny zapach ust i skutecznie zapobiega psuciu się zębów. 1 flaszka K 1·50.

Kemény, Kaschau
I. Postfach 12/54 (Węgry).

Sposobnością

dla kupującej Publiczności jest nasz wybór pod względem jakości i taniości bez konkurencyi **na wiosenny i letni sezon.**

Każda kobieta

która chce się ubierać tanio, dobrze, szykownie i elegancko nie omieszka przed załatwieniem swoich zakupów przejrzeć naszej bogatej

kolekcyi próbek materyi

zawierających nowości w materyałach na suknie i bluzki, także towary płócienne, jak również zażąda **wspaniale illustrowanego katalogu.**

Wysyłka zupełnie bezpłatnie.

Wielki magazyn „Au Prix Fixe“
Wiedeń I., Graben 15/7
Wchód: Habsburgergasse 1.



Suknie letnie z wełnianej krepy, o wspaniałych barwach **K 9·75.** Dopasow. łatwe samemu do uszycia **K 4·95.**

MAGAZYN Z OBUWIEM

Feliksa Łodzińskiego

2 Kraków, Szewska 2

poleca w najlepszym wyborze obuwia męskie, damskie i dziecinne.

Ceny przystępne!



Wzory materyałów dla panów i pań na

nowe ubrania na Wielkanoc

proszę zamówić u firmy

Prokop Skorkowsky i syn wywozowy dom sukna i modnych materyałów dla panów i pań

w Humpolcu, Czechy.

Na życzenie załatwimy także uszycie ubrania dla panów

HOTEL PENSION NOUVELLE

W KRAKOWIE, UL. ZACISZE L. 14 (w pobliżu dworca kolejow.) na parterze, I-szem i II-giem piętrze. — Telefon Nr. 2449.

POKOJE UMEBLOWANE od 2 koron i wyżej.

Na żądanie: Obiady, Kawa, Herbata.

LALKI

Zabawki, Konie na biegunach, Gry towarzyskie poleca w wielkim wyborze

C. SZCZURKOWSKI W KRAKOWIE

ul. Grodzka 2

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Wacław Lipiński. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.